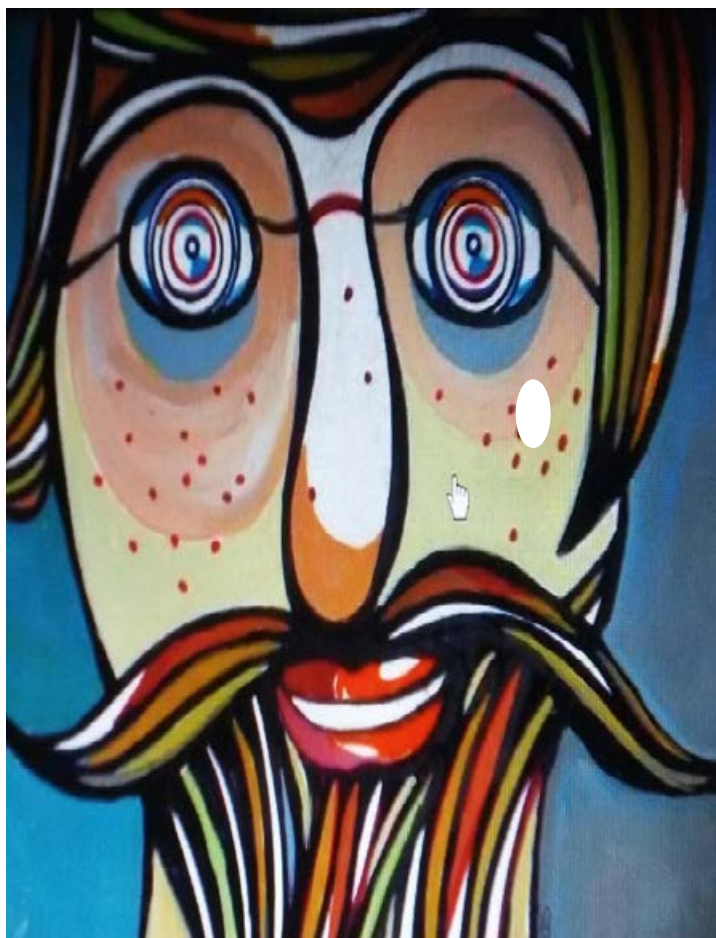


ISSN 1507- 4781 \* ROK XXI \* WIOSNA (IV, V, VI,) 2018 \* nr 76

# FORUM 76

## MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



STEFAN BERDAK "Zdziwiony", akryl, płyta,

### **W numerze m.in.:**

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Trochę anegdoty*
- Piotr Augustynek, *I znowu Orwell...*
- Danuta Waniek, *Sesja grudniowa, cz. I*
- Kazimierz Pasenkiewicz, *Wspomnienia, cz. I*
- Michał Chorośnicki, *Nowe formy terroryzmu, cz. I*



doc. dr Andrzej Kurz  
 – przewodniczący,  
 prof. dr hab. Czesław Banach  
 – wiceprzewodniczący,  
 dr Józef Kabaj  
 – wiceprzewodniczący,  
 mgr Jan Nowak  
 – wiceprzewodniczący,  
 mgr Stanisław Franczak  
 – sekretarz.

**Członkowie:**

prof. dr hab. Adam Chmielewski,  
 prof. dr hab. Michał Chorośnicki,  
 prof. dr hab. Ignacy S. Fiut,  
 prof. dr hab. Marian Grzybowski,  
 prof. dr hab. Jerzy Kochan,  
 prof. dr hab. Jerzy Kolarzowski,  
 dr hab. Zbigniew Krawczyk,  
 prof. dr hab. Józef Lipiec,  
 mgr Mieczysław Noworyta,  
 prof. dr hab. Jerzy Ochman,  
 prof. dr hab. Jan Szmyd,  
 prof. dr hab. Piotr Szydłowski,  
 prof. dr hab. Jan Woleński,  
 prof. dr hab. Krzysztof Woźniakowski.

**ADRES REDAKCJI:**

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5  
 tel. 12 423-50-16; 501 456 547  
 e-mail: j.kabaj@wp.pl  
 sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

**Wydawca:**

Rada Wojewódzka  
 Towarzystwa Kultury Świeckiej,  
 30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5  
**www.forummysliwolnej.pl**  
 Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona  
 Świeżawskich

**Skład, łamanie i druk:**

Agencja Reklamowa Novum,  
 31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8  
 tel.: 12 633 35 53  
 www.novum.krakow.pl

**1 SŁOWO OD REDAKTORA**

Stanisław Franczak

**TEMATY SPRZED LAT**

- 2 Tadeusz Żeleński-Boy, *Trochę anegdoty*  
 Wybór i wprowadzenie Piotra Augustynka

**ETYKA DLA MŁODZIEŻY**

- 5 Piotr Szydłowski *Ewolucyjna etyka Herberta Spencera*  
 (1820-1903)

**RELIGIOZNAWSTWO**

- 12 Jan Czajkowski *Natura sacrum i jego społeczna funkcja,*  
 cz. 3 (ostatnia)

**SESJA GRUDNIOWA TOWARZYSTWA KULTURY ŚWIECKIEJ  
I KRAKOWSKIEJ „KUŹNICY”**

- 22 Danuta Waniek *Czy narodowcy stanowią zagrożenie dla*  
*demokracji w Polsce?*  
 29 Michał Chorośnicki *Nowe formy terroryzmu*

**100-LECIE ODRODZENIA POLSKI**

- 34 Kazimierz Pasenkiewicz *Wspomnienia, Odcinek*  
*pt. Narkotyki ratują życie*

**MYŚLAĆ BELFREM**

- 40 Piotr Augustynek *I znowu Orwell...*  
 42 Henryk Szydłowski *Mitoteka Narodowa*  
 46 Mieczysław Jakubiec *Dlaczego?*

**RECENZJE**

- 50 Stanisław Franczak *Prasa polska na Węgrzech w latach*  
*II wojny światowej*  
 52 Józef Kabaj *Carlo Rovelli – nowoczesny kosmolog wraca*  
*do Demokryta*

**55 Z PORTALI INTERNETOWYCH****63 KRONIKA****64 Z PRASY**

**Redaktor naczelny:** Stanisław Franczak.

**Zespół redakcyjny:** Ignacy S. Fiut, Antoni Pietryka (zastępcy red. nacz.), Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Artur Koziół (red. techniczny).

**Opracowanie graficzne:** Stefan Berdak.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.



## SŁOWO OD REDAKTORA

**K**rokusy i przylaszczki dawno już przekwitły. Ani się obejrzyć, a tu już święta majowe. Atmosfera społeczno-polityczna gęstnieje im bliżej wyborów samorządowych. Władze kombinują, jakby tu stworzyć korzystny dla nich system wyborczy, a opozycja dzieli się i kłóci.

Obudźcie się waszmościowie, już pora!

Na świecie trwa chocholi taniec, przykładem Syria, gdzie trwają co najmniej cztery wojny. Po jednej stronie Rosjanie i Irańczycy, po drugiej Amerykanie trzymają z Turkami i wspierają Kurdów, ale Turcy walczą z nimi zażarcie. Rosjanie wspomagają Asada bombardując powstańców, ale wszyscy – co za perfidia – uzgadniają naloty, by nie wchodzić sobie w paradę! Co z tego wyniknie?

W naszym świątecznym numerze tradycyjne spotkanie z myślą Boya, a także dalszy ciąg historii etyki dla młodzieży w ujęciu prof. Piotra Szydłowskiego. Prof. Michał Chorośnicki przybliżył nam zagadnienie terroryzmu i polityki międzynarodowej, zaś Mieczysław Jakubiec zastanawia się nad istota polskiego antysemityzmu oraz prof. Danuta Waniek pisze na temat narodowców.

Oprócz tego – jak zwykle – refleksje publicystów, filozofów i artystów oraz aktualności z prasy i portali.

Przyjemniej i pożytecznej lektury.

*Z nadzieją na powrót rozumu, na przyzwoitość, by do końca nie zadusiła ich hucpa polityczna.*

*Wiosna to czas rozpoczynania wszystkiego raz jeszcze, od początku. Z nadzieją właśnie – czego życzymy sobie wzajemnie. Nadzieja bowiem nie może umrzeć dopóki choć jeden homo sapiens stąpa po ziemi.*

*Cieszymy się zatem, bo wiosna tuż-tuż! I rozum wszak nie śpi.*

*Redakcja*

PIOTR AUGUSTYNEK

## Spór o ważniejszą naszość

Tytuł powyższy może pokraczny, ale jakże celnie określa nasze wszelkie spory polsko-polskie, szczególnie te prowadzone w sprawach niemierzalnych, nieuchwytnych.

Głównie chodzi o sprawy gustu, preferencji estetycznych, wrażliwości na sztukę, etc.

Tadeusz Boy – Żeleński w jednym ze starych tekstów „Trochę anegdoty”, zamieszczonym w zbiorze „Boy o Krakowie” przez Wydawnictwo Literackie rzucił nieco światła na spór między „wyznawcami” Słowackiego a „wyznawcami” Mickiewicza. Z dzisiejszej perspektywy spór tyle komiczny, co nierozstrzygalny. Bo jakże wymierzyć i porównać wartość i doniosłość talentów panów Adama i Juliusza?

Przecież i jeden i drugi pisali teksty genialne w swej przenikliwości, gdy chodzi o ocenę nas Polaków. I jeden i drugi mieli odwagę prezentować swoje poglądy, słowem PORUSZALI MYŚLENIE, czego nasi współziomkowie nie lubią.

Gustaw – Konrad i Konrad Wallenrod, czy może Kordian? Spisek koronacyjny, czy powstanie w Soplicowie? Epilog „Pana Tadeusza” czy „Grób Agamemnona”?

Dręcz się, biedny Sarmato takimi problemami. Dręcz się, bo przecież MUSISZ DOKONAĆ WYBORU, kto bardziej nasz, kto jest lepszym polskim wieszczem. Musisz, wybieraj, co żywo! A dlaczego musisz? No bo tak. Nie można przecież szanować obu twórców za ich (lepszy lub gorszy) pomysł na Polkę i Polaków. Dlaczego nie można? No bo tak musi być.

I już się gotuje smoła w naszym narodowym kociołku. A diabli się cieszą, bo nie muszą pod kocioł podkładać żadnego paliwa. My robimy to za nich.

Acha! Jeszcze jedno: Mistrz Adam i mistrz Juliusz zaiste nie pałali sympatią wzajem do siebie. I co? I nic. Ich doczesne szczątki spoczywają w wawelskiej krypcie obok siebie, prawie o metr. A we wnęce stoi Norwid i zapewne chichocze...

## Trochę anegdoty

(...) Najpierw szkoła. Nauka o Słowackim jako o zarozumiałym, zawistnym i niesfornym fantaście dosyć trafia do smaku pedagogom. Szkodziło mu też to, że większość jego utworów była niedokończona: wiadomo, co znaczy w szkole zadanie niedokończone! Mickiewicz to co innego; proszę siadać! Był tu po troszę ten sam stosunek, co na emigracji paryskiej: Mickiewicz zabrał dla siebie całe miejsce, wszystko powietrze do oddychania. Na poezje romantyczną program szkolny wyznaczał pół roku: cały ten czas zużył profesor na dyktowanie nam – nie wykład, ale d y k t o w a n i e! – życiorysu Mickiewicza, bałwochwalczo dokładnego, którego musieliśmy się uczyć potem na pamięć. Pamiętam ustęp wykładu, opowiadający, jak Mickiewicz pisał w Paryżu *Pana Tadeusza*. „Mieszkał wówczas przy ulicy Saint-Nicolas-d’Antin” – dyktował z powagą profesor.

Usłyszawszy tę cenna wiadomość, mimo woli parsknąłem śmiechem.

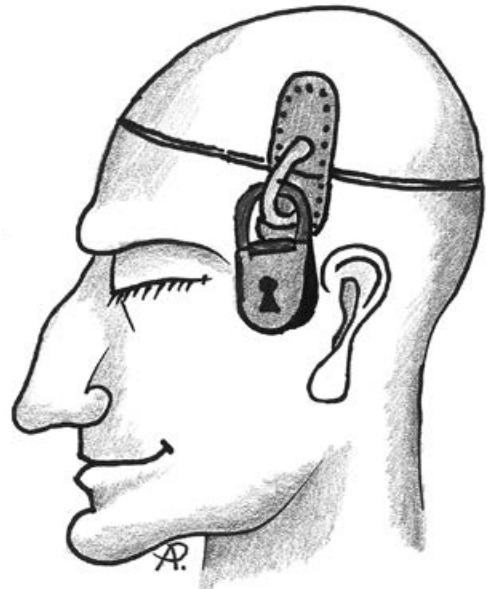
– Proszę cię, Żeleński, wyjdź.

Było to powiedziane tak spokojnym głosem, że spoglądałem na profesora niepewny, nie wierząc co począć: tak spokojnie nie wyrzuca się nikogo za drzwi. Ale nie długo trwała moja niepewność: ów złudny spokój płynął z nadmiaru oburzenia. „Wychodź natychmiast!!!” – ten ryk profesorski rozległ się nade mną, a widok pięści trzęsących się nad moją głową sprawił, że w mig znalazłem się za drzwiami. Dzięki temu zapamiętałem do końca życia (o ile czego nie

pomyliłem), że pisząc *Pana Tadeusza*, Mickiewicz mieszkał przy ulicy Saint-Nicolas-d’Antin. I zarazem został mi pewien odcień bardzo nielogicznej urazy do Mickiewicza.

Rzecz prosta, że przy tym systemie wiedza nasza o Słowackim skurczyła się po troszę do wyliczania tytułów: *Hugo*, *Arab*, *Jan Bielecki*, *Żmija* recytowało się jednym tchem, niby wtki łaćńskie. Potem zaczynało się jękanie. O *Beniowskim* szkoda gadać: nie dokończony! O *Holsztyńskim* i *Nowej Dejanirze (Niepoprawnych)*, jak się mówiło wówczas) nie wiedziała szkoła nic. Dukąło się tam jakiegoś *Mindowego*, z takim samym sentymentem co *Goetza von Berlichingen*. „Zdawało się” na pamięć *Ojca zadumionych*, *Grób Agamemnona* i *Smutno mi Boże*.

W tej atmosferze kultu dojrzewała myśl o Wawelu dla Słowackiego, idea na



- ***Jeśli masz poczucie, że nasz Naród jest wielki, to zapytaj samego siebie, czy ty – inaczej: co ty – wnosisz do tej wielkości.***

Patriota

- ***Anacharsis Scyta (przez niektóre źródła zaliczany do siedmiu mędrców greckich, przyjaciół Solona); gdy mu ktoś wymawiał jego barbarzyńskie pochodzenie, miał powiedzieć: – Dla mnie hańbą jest moja ojczyzna, ty natomiast jesteś hańbą dla swojej ojczyzny.***

- ***Ta cudowna magia małżeństwa! Można się w nim nawet rozstać bez rozejścia się. Mało tego: można się rozstawać – bez rozvodu – co wieczór.***

Jan Socha

- ***Z religią i bez niej dobrzy ludzie zachowują się dobrze, a źli – źle; ale żeby dobry człowiek czynił zło – do tego potrzeba religii.***

Steven Weinberg

owe czasy rewolucyjna. Rzecz załamała się o weto kardynała Puzyny, stąd wiece, manifesty. Oburzano się powszechnie na kardynała; co do mnie wyznaję, że dość mi się podoba taka męska afirmacja swego przekonania. Taki opór, jeśli są dane po temu, zawsze w końcu będzie przełamany, walka wpływa natomiast bardzo

zbawiennie na krystalizację pojęć. Uważam, że raczej za mało jest u nas takich walk; nie czyjeś weto, ale powszechna mdłość i obojętność bywają najgroźniejszym wrogiem.

Oto w końcu – apoteoza. Cały naród... z miłością... wieszcz... trumna... prochy... To znaczy, partie strzelają tymi prochami do siebie. Jeden z czytelników nadesłał mi uprzejmie dwa numery prowincjonalnych pisemek. „Wrócił wielki Polak, Katolik, w przeddzień koronacji Matki Boskiej Ostrobramskiej...”, pisze jedno. „Złożono na Wawelu szczątki wieszca i apostoła Polski Mesjanicznej, który śmiało i bez ogródek powiedział Polsce: „Polsko, Twa zguba w Rzymie...”, pisze drugie. A w teatrze na wspaniałym, porywającym *Samuelu Zborowskim* – pustki. Słowem, wszystko normalnie.

W ciągu lat swego pośmiertnego życia Słowacki miewał swoje „hossy” i swoje „bessy”. I los tak zrządził, że zawsze niejako on był na jednej szali wagi, a na drugiej – Mickiewicz. Przekleństwo rywalizacji przeciągnęło się poza grób. Jak gdyby jakieś fatum każe zawsze wielbić jednego po to, aby drugiego bić nim po głowie. Czy to konieczne? Bywało coś podobnego z Schillerem i Goethem. Kiedy wspomniano o tym Goethemu, wrzucił ramionami i rzekł: „*Unsinn! Die Deutsche sollten froh sein, dass sie zwei solche Kerle haben*”. Co brzmi mniej więcej po polsku tak: “Bądźmy kontenci, że mamy dwóch takich hyclów!” □

Ze zbioru „Boy o Krakowie”  
Wydawnictwo Literackie 1974  
Wyboru dokonał Piotr Augustynek

PIOTR SZYDŁOWSKI

## Ewolucyjna etyka Herberta Spencera (1820-1903)

W drugiej połowie XIX wieku dominującą rolę w Europie odgrywają filozofie minimalistyczne – pozytywizm, empiryzm, oraz najsilniejsza z nich – ewolucjonizm, w naukach przyrodniczych reprezentowany przez Karola Darwina (1809-1882), a w filozofii przez Herberta Spencera, który jest twórcą terminu „ewolucjonizm”. Sam termin jest modyfikacją łacińskiego wyrazu *evolutio*, który posiada kilka znaczeń, a wśród nich oznacza również rozwój.

Spencer znał poglądy Darwina, był bowiem od niego dwanaście lat młodszy i kiedy Darwin opublikował *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego czyli o utrzymywaniu się doskonalszych ras w walce o byt* w 1859 roku, Spencer był u szczytu swej filozoficznej aktywności, mając wtedy czterdzieści lat. Akceptował wyniki badań Darwina, był nawet – jak mówią historycy filozofii – pod jego wpływem. Z Darwinowskiego pojęcia rozwoju przyrodniczego Spencer uczynił osnowę całego swego systemu, który ogłosił w roku 1862 pt. *Program systemu filozofii syntetycznej*. W następnych latach ukazały się kolejne tomy zaplanowanej całości, mianowicie:

- *Pierwsze zasady*, 1862 (wyd. pol. W tłum. K. Potockiego, Warszawa 1883)
- *Zasady biologii*, 1864-18677
- *Zasady psychologii*, 1870-1872
- *Zasady socjologii*, 1876-1896

- *Zasady etyki*, 1879-1892 (wyd. pol. T. I, w tłum. J. Karłowicza Warszawa.
- *O wychowaniu umysłowym, moralnym i fizycznym* (wyd. pol. w tłum. A. Peretiakowicza, 2002.
- *Jednostka wobec państwa*, (wyd. pol. w tłum. A. Bosiackiego, Warszawa 2002.
- *Szkice filozoficzne*, Cz. I i II, wyd. pol. T.T. Jeża, Warszawa.

Czym zatem różnił się ewolucjonizm filozoficzny Spencera od ewolucjonizmu przyrodniczego Darwina. Zrozumienie ewolucyjnej etyki Spencera wymaga scharakteryzowania obu tych nurtów ewolucjonistycznych.

### 1. Charakterystyka ewolucjonizmu Darwinowskiego

Karol Darwin był twórcą teorii ewolucji biologicznej, od jego nazwiska zwanej darwinizmem. Podróżując (od roku 1831) przez pięć lat dookoła świata na okręcie „Beagle” i przebywając przez dłuższy czas na wyspach Galapagos Darwin zebrał bogaty materiał zoologiczny, botaniczny i geologiczny, który stał się podstawą sformułowania naukowej, popartej dowodami empirycznymi, teorii dowodzącej istnienia w przyrodzie faktu zmienności organizmów, nazwanej e w o l u c j ą. Owa zmienność (mogąca być dla organizmów korzystną, bądź obojętną a nawet szkodliwą) prowadzi do powstawania w przyrodzie co raz to

nowych cech w organizmach, ułatwiających, a właściwie umożliwiających danemu gatunkowi zwierząt przetrwanie w przyrodniczym środowisku. Ewolucja polega na tym, że dotychczasowe „stare” cechy zanikają, są bowiem już nieprzydatne, a nawet szkodliwe, ponieważ uniemożliwiają dalsze trwanie w zmieniającym się środowisku naturalnym i w ich miejsce pojawiają się nowe cechy organizmu ułatwiające danemu gatunkowi zwierząt dalsze trwanie. Czynnikiem porządkującym proces ewolucji i nadającym kierunek zmianom w organizmach jest **d o b ó r n a t u r a l n y** w danej populacji zwierząt, który jest mechanizmem powodującym zmiany ewolucyjne. Dobór naturalny zdecydował o sprawdzalności ewolucji i jej naukowej powadze. Uwolniło to biologię od bezpośredniej zależności od Boga stwarzającego wszystko w ciągu sześciu dni i pozwoliło jej stać się prawdziwą nauką opartą, tak jak fizyka i chemia, na prawach przyrody. Przyczyną natomiast owego doboru jest fakt rodzenia się większej liczby potomstwa niż może przeżyć w danym środowisku naturalnym. W takiej sytuacji między osobnikami następuje – jak wyjaśnia Darwin – „walka o byt”, o p r z e t r w a n i e w środowisku. Ową walkę o byt nazwał Darwin **s e l e k c j ą n a t u r a l n ą**. W potrzebie wygrania walki o byt, powstają w jednych osobnikach nowe cechy gwarantujące zwycięstwo, a w innych osobnikach zanikają cechy nie gwarantujące przetrwania. Na tym polega ewolucja biologiczna gatunków. Darwin w całym tym procesie ewolucji nie wykluczał udziału Boga, był bowiem religijnie wierzącym i przekonany, że to Bóg zaprojektował prawa rządzące reprodukcją, pozwalając gatunkom by zmieniały się, dostosowując się do zmian zachodzących w środowisku naturalnym.

Wyniki swoich badań potwierdzone argumentami empirycznymi początkowo puszczał Darwin w obieg dyskretnie, tylko wśród najbardziej zaufanych przyjaciół, z obawy przed negatywną reakcją ze strony Kościoła i jego teologów literalnie interpretujących pierwszy rozdział Księgi Rodzaju opowiadający o stworzeniu świata i człowieka przez Boga w ciągu sześciu dni. Publikując w roku 1859 *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego*, zdedykował ją papieżowi i dodał długie wyjaśnienie, dla czego wyniki jego badań nie są herezją w rozumieniu teologicznym. Nawiązał do poglądów Charlesa Babbage, profesora matematyki w Cambridge, który głosił, że Bóg działa przez prawa fizyki, a nie przez bezpośrednie nakazy i cuda, nie uniknął jednak Darwin odrzucenia swoich pomysłów przez kościelnych tradycjonalistów. Kolejne wyniki badań nad ewolucją przyrodniczą opublikował w rozprawach *O zmienności roślin i zwierząt w stanie udomowionym*, 1868, *O pochodzeniu człowieka* i *O doborze płciowym*, 1871. Herbert Spencer był wówczas u szczytu swej twórczości filozoficznej. Znał i akceptował wyniki badań Darwina. Prowadził wieloletnie badania nad stworzeniem systemu filozofii ewolucjonistycznej, których rezultat przedstawił w wielotomowej pracy *A System of Synthetic Philosophy* (1862-1893). Tytuły poszczególnych tomów ukazane są wyżej, na pierwszej stronie artykułu.

## **2. Charakterystyka ewolucjonizmu Spencerowskiego**

Swoje koncepcje filozoficzne Herbert Spencer sformułował wstępnie jeszcze przed odkryciami Darwina, a gdy Darwin opublikował wyniki swoich badań, Spencer zaakceptował je i wyrażał

zadowolenie, że Darwinowskie dowody empiryczne na fakt ewolucji gatunków potwierdzają jego filozoficzną teorię, w myśl której w świecie społecznym zachodzi również proces doboru naturalnego umożliwiający przetrwanie tylko jednostkom najlepiej dostosowanym.

Koncepcje swoje zmierzające do sformułowania i rozwinięcia jednolitego prawa rozwoju całej rzeczywistości przyrodniczej i ludzkiej uczynił Spencer głównym zadaniem swego życia. W rozprawie pt. *Postęp, jego prawo i przyczyna*, 1857, sformułowane przez Bauera prawo postępu organicznego, polegające na przechodzeniu od jednorodności do różnorodności, uczynił prawem wszelkiego postępu. Jego zamiar opracowania jednolitego systemu filozofii ewolucyjnej bardzo popierali najwybitniejsi myśliciele owych czasów, tacy jak John Stuart Mill, Jerzy Grote (zm. 1871), Tomasz Huxley (zm. 1895). Darwin natomiast, zapoznając się z kolejnymi publikacjami Spencera, uznał go za największego angielskiego filozofa swoich czasów.

Co zatem jest istotą ewolucjonizmu filozoficznego Herberta Spencera? Zanim na to pytanie odpowiemy, winniśmy sobie uświadomić, że twórczość pisarska Spencera szła dwoma torami. Jeden przedstawiał dialektykę rozwoju przyrody i społeczeństwa (zawierający właśnie istotę Spencerowskiego ewolucjonizmu), drugi natomiast polegał na u p o w s z e c h n i a n i u założeń filozofii ewolucyjnej, zwłaszcza tych mających konsekwencje praktyczne w życiu społecznym – w polityce, gospodarce, kulturze i moralności. Herbert Spencer należał wszak do wielkich reformatorów społecznych dziewiętnastego wieku. Zasady

wynikające z założeń teoretycznych traktował jako wytyczne wszelkiej działalności społecznej, w tym działalności etyczno-wychowawczej. Wierząc w nieustanny postęp stosunków społecznych, za warunek postępu przyjmował właśnie rozwój moralny człowieka.

Wyodrębniając w procesie ludzkiego poznania trzy fazy rozwojowe, mianowicie wiedzę, naukę i filozofię, Spencer uznał filozofię za najbardziej ogólny system poznawczy i przyznał jej zadanie odkrycia najogólniejszej zasady wyjaśniającej wszystkie zjawiska (przyrodnicze i społeczne), która to zasada stanowiłaby syntezę wszystkich praw naukowych. W swoim namyśle filozoficznym Spencer odkrył, że o w ą n a j o g ó l n i e j s z ą z a s a d ą wyjaśniającą cały rozwój dziejowy przyrody i społeczeństwa jest PRAWO EWOLUCJI. Dlatego filozofia Herberta Spencera nosi miano filozofii ewolucjonistycznej, bądź też ewolucjonizmu filozoficznego i obejmuje wszystkie zjawiska – kosmiczne, przyrodnicze i społeczne, a jej punktem wyjścia są zjawiska przyrodnicze, którymi zajmował się Karol Darwin. Dlatego Spencer uznał przyrodnicze prawo rozwoju za prawo powszechne. Prawem tym wyjaśniał rozwój dziejowy całej rzeczywistości. Dowodził, że ewolucja przebiega na wszystkich poziomach rzeczywistości – na poziomie nieorganicznym, organicznym i nadorganicznym (za który uważał ludzkie społeczeństwo) oraz w wytworach życia nadorganicznego (czyli w wytworach ludzkiej kultury). Ewolucji podlega też ludzki umysł i ludzka świadomość.

Obok tego ogólnego prawa ewolucji, Spencer zidentyfikował szczegółową prawidłowość w przebiegu ewolucji. Analizując różne dziedziny rzeczywistości naturalnej i społecznej wykazał,

że rozwój przebiega od stanu jednorodności do stanu różnorodności, od stanu mniej spójnego do stanu ściśle powiązanego i od stanu chaotycznego do bardziej określonego i uporządkowanego. Ewolucja przebiega w różnych kierunkach, gdyż każde społeczeństwo usiłuje lepiej lub gorzej dostosować się do odmiennych warunków przyrodniczych.

Powstało wreszcie pytanie, czy proces ewolucji jest trwałym procesem, czy też są jakieś jego granice? Odpowiedź Spencera była następująca. Proces ewolucji polegający na integracji materii i rozpraszaniu się ruchu prowadzi nieuchronnie do stanu równowagi sił oddziałujących na rzeczywistość w procesie ewolucji. Ten stan równowagi sił będzie nieuchronny w procesie rozwoju. W życiu ludzkości będzie to okres całkowitego dostosowania się do warunków życia, polegający na harmonii i doskonałości. Ale uwaga! Ta równowaga kończąca proces ewolucji, nie jest jednak ani wieczna, ani nawet stała. Rozpadnie się, bo wszelkie skupienie, które osiągnęło stan równowagi, podlega procesowi kolejnego rozkładu na skutek działania sił zewnętrznych i nie zrównoważonych. Ten rozkład polega na dezintegracji materii i skupieniu się ruchu. Proces rozkładu jest równie powszechny podobnie jak proces ewolucji. Ulegnie mu wszelkie skupienie, nie wiemy tylko kiedy to nastąpi i ewolucja będzie się toczyła nadal. A teraz uwaga! Spencer, usiłując dać wyjaśnienie praw rządzących ewolucją, **uznał ostateczną przyczynę zjawiska za niepoznawalną.** Uznał, że **PRAWDZIWA RZECZYWISTOŚĆ, NIEDOSTĘPNA POZNANIU LUDZKIEMU ISTNIEJE POZA ZJAWISKAMI !!!** A tak właśnie głoszą wszelkie religie. Dlatego Spencer nie widział przeciwieństwa

między nauką i religią w tej kwestii. Obie one (nauka i religia) usiłują za pomocą symboli wyrazić niedostępną poznaniu ludzkiemu rzeczywistość znajdującą się poza zjawiskami i stanowiącą ich źródło. Dlatego badacze filozofii Spencera uważają go za agnostyka, w teorii poznania bowiem uznał, że **istota rzeczywistości jest niepoznawalna.**

### **3. Charakter i funkcja etyki w filozofii Herberta Spencera**

Problemy etyki i moralności Spencer umieścił w centrum swoich zainteresowań. Był rzecznikiem poglądu postulującego zastąpienie dotychczasowego kodeksu moralnego opartego na boskim objawieniu nowym kodeksem opartym na wynikach badań naukowych. Zauważmy, że Spencer urodził się dwadzieścia jeden lat po Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która podkopała społeczny autorytet Kościoła i głoszoną przez niego moralność religijną. Nowe czasy sprzyjały poszukiwaniu nowych uzasadnień dla moralności. Po ostatecznym upadku w Europie ustroju feudalnego nastąpił ustrój nowy, kapitalistyczny. Ewolucja społeczeństw europejskich w kierunku kapitalizmu sprzyjała ewolucji w dziedzinie moralności.

Istota refleksji etycznej Spencera nad moralnością harmonizowała z jego ewolucjonizmem filozoficznym i miała charakter naturalistyczny. Spencer utożsamiał postępowanie moralne z normalnym postępowaniem człowieka zgodnym z ogólnymi prawami ewolucji. Pracował nad kodeksem moralności naturalnej, będącej wynikiem procesu ewolucji, a biorącej swój początek w podłożu instynktowym życia człowieka i w jego doświadczeniu dziejowym. Z faktu istnienia przyrodniczego i społecznego

zjawiska ewolucji wyciągał wniosek, że zasady etyczne nie są niezienne, powstały bowiem w toku ewolucji i za jakiś czas ulegną ewolucyjnej zmianie. Nauka o ewolucji pojęć moralnych formułowana przez Spencera miała stanowić nie tylko najwyższą syntezę wyjaśniającą proces ewolucji natury ludzkiej, ale jednocześnie miała wskazywać drogę doskonalenia się moralnego człowieka, kierunek jego postępu i rozwoju.

Przyjmując, że moralność ewoluuje kształtując się w procesie historycznego doświadczenia ludzkości, Spencer opowiadał się za odrzuceniem wszelkiego rygoryzmu moralnego w procesie wychowania młodzieży, opartego na systemie zakazów i nakazów, one bowiem są najczęściej nieskuteczne. W miejsce tak stosowanej tresury moralnej zaproponował wychowawcom stosowanie kar naturalnych. Polegałyby one na doznawaniu przez wychowanka złych skutków moralnie nagannego swego postępowania. Doświadczając na sobie złych skutków swoich niemoralnych czynów wychowanek zrozumie słuszność zakazów i słuszność sankcji będących konsekwencją złego postępowania. Zwalczanie rygoryzmu moralnego w wychowaniu jest konsekwencją głównych założeń etyki ewolucyjnej Spencera, wedle której złe popędy natury ludzkiej ulegają sublimacji w wyniku doświadczenia społecznego. W doświadczeniu społecznym powstają w wychowanku (i w każdym człowieku) szlachetne uczucia moralne, poszanowanie praw innych ludzi, altruizm i inne zalety moralne. Unikając w wychowaniu rygoryzmu moralnego właściwego etyce dogmatycznej, zapewniamy dzieciom możliwość rozumienia i pogłębiania pojęć o dobru i złu moralnym.

Podsumowując należy powiedzieć, że poglądy etyczne Spencera opierają się

- ***Wydawać by się mogło, iż dzielimy się na niezdolnych, albo niezdolnych do miłości. Dla wyjaśnienia: niezdolni nie potrafią kochać, niezdolnych zaś kochać nie sposób. Ale chyba jest raczej tak, że te dwie kategorie się schodzą: niezdolni są niezdolnymi, a niezdolni niezdolnymi.***

Jan Socha

- ***Religijni fanatycy chcieliby ludziom wyłączyć mózgi, nakazać ignorowanie dowodów i ślepe podążanie za świętą księgą opartą o prywatne „objawienie”.***

Richard Dawkins

- ***Ile mamy wad? Tyle, ilu jesteśmy świadomi. Albo... ile nam ktoś ich przypisze. Oczywiście – nam życzliwy.***

Jan Socha

na dwóch założeniach, na utylitaryzmie i ewolucjonizmie. W duchu utylitaryzmu normy moralne winny sprzyjać szczęściu powszechnemu, którego natura zmienia się z biegiem czasu, więc i normy moralne zmieniają się zgodnie z zasadami ewolucjonizmu. Dlatego etyka Spencera jest etyką empiryczną, głoszącą, że normy moralne nie posiadają wartości wiecznej ani powszechnej, ale – będąc rezultatem doświadczenia – są uwarunkowane historycznie i geograficznie. Jak wszystkie inne zjawiska, normy te podlegają ewolucji. Dlatego podlegają naukowemu badaniu i dają się wyjaśnić

ogólnymi prawami rozwoju. Są zmienne i przejściowe. Normy te z chwilą osiągnięcia przez ludzkość najwyższego rozwoju, tzn. absolutnego przystosowania się do otoczenia i warunków życia, jako system nakazów i zakazów staną się zbędne, moralność bowiem nabierze charakteru organicznego, stanie się wewnętrzną potrzebą każdej jednostki.

Dodać jeszcze należy, że Spencer swoją ewolucyjną etykę wywodził z teorii „walki o byt” głoszącej, że dobre jest to, co służy przystosowaniu i rozwojowi. Dlatego uważał, że należy wspierać ludzi silnych, a nie słabych i upośledzonych przez naturę. Słabych ewolucja wyeliminuje z życia społecznego, a słabe społeczeństwa wyginą w toku rywalizacji ze społeczeństwami silnymi. Militar-na bądź gospodarcza rywalizacja między społeczeństwami doprowadzi do selekcjonowania i zwycięstwa typu społeczeństw najsprawniejszych, skazując na upadek i zanik społeczeństwa niedostosowane do nowych warunków życia. Poglądy te harmonizowały z naturą rozwijającego się w owych czasach wolnego rynku, którego Spencer był zdeklarowanym zwolennikiem.

#### 4. Zwycięstwo ewolucjonizmu

Warto jeszcze wiedzieć, że od początku pojawienia się darwinowskich wyników badań dowodzących faktu ewolucji w przyrodzie, napotkały one na zdecydowany sprzeciw w środowiskach katolickich. Powodem sprzeciwu było dosłowne (literalne) rozumienie tekstu pierwszego rozdziału „Księgi Rodzaju” (pierwszej księgi pisma świętego Starego Testamentu). Autor „Księgi Rodzaju” opowiada o stworzeniu świata i człowieka przez Boga w ciągu sześciu dni. „W ten sposób zostały ukończone niebo i ziemia oraz wszystkie ich zastępy.



A gdy Bóg ukończył w dniu szóstym swe dzieło, nad którym pracował, odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie jaki podjął” (Rodz. II, w. 1-2 w Biblii Tysiąclecia). Otóż przez długi czas w środowiskach katolickich miało miejsce, a w środowiskach fundamentalistów protestanckich w Ameryce do dziś ma miejsce literalne rozumienie tego tekstu. Sześć dni, to sześć – napisano jednoznacznie i nie ma dyskusji o jakiejś tam ewolucji! Wszak Pismo święte natchnione przez Boga mylić się nie może! Do dnia dzisiejszego w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie szkolne programy nauczania podlegają władzom lokalnym, nacisk fundamentalnych środowisk protestanckich wymusza, obok teorii ewolucji, wykładanie dzieciom również biblijnej wersji stworzenia świata w ciągu

sześciu dni. Do dziś w stanie Alabama można wykładać teorię ewolucji, ale tylko „jako opinię”.

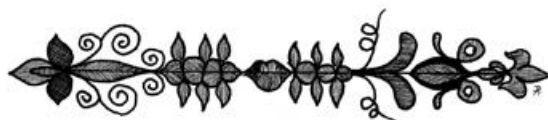
Cały ten spór jest wynikiem braku wiedzy, powiedziałbym mocniej: jest wynikiem ignorancji będącej cechą wszelkiej odmiany fundamentalistów, wynikającej również z zadufanej pewności siebie. Spory o ewolucję trwały już za życia Darwina i trwały po jego śmierci. Obawom o szkodliwość owych sporów dla ewolucji dał wyraz biskup Carlisle w kazaniu pogrzebowym nad trumną Darwina mówiąc, że „byłoby niešťczęściem, gdyby nastąpiło cokolwiek, co wprowadziłoby do obiegu nierozsądne wyobrażenie (...), że z konieczności istnieje konflikt między Przyrodą i wiarą w Boga”.

Upłynęło jednak wiele czasu zanim zrozumiano, że księgi święte Starego Testamentu nie są podręcznikiem przyrody i nie opisują f a k t y c z n e g o procesu powstawania świata. Są to bowiem księgi dydaktyczne, których autorzy mają na celu pouczenie o różnych problemach moralnych i – szerzej mówiąc – egzystencjalnych, z jakimi człowiek spotyka się w swoim życiu. Egzegeci katoliccy wyjaśnili z czasem, że celem jaki sobie wytyczył autor pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju jest utrwalenie praktyki sześciodniowego tygodnia pracy i przeznaczenie dnia siódmego na odpoczynek. Z opisu stworzenia świata jednoznacznie wynikało, że skoro sam Pan Bóg zmęczony sześciodniową ciężką pracą odpoczął dnia siódmego, to i ty, człowieku, postępuj tak samo. Taka interpretacja opisu stworzenia świata znalazła potwierdzenie w Mojżeszowym Dekalogu, którego jedno z przykazań brzmi: „Pamiętaj abyś dzień święty święcił”

Na szczęście dla nauki i obalenia błędnych poglądów przeciwników ewolucji, w czasie letnich sesji naukowych organizowanych przez Papieską Akademię Nauk w Castel Gandolfo w drugiej połowie dwudziestego wieku brali udział najwybitniejsi ówcześni kosmologowie a wśród nich Stephen Hawking profesor z Cambridge, astrofizyk i kosmolog, autor „Krótkiej historii czasu” i wielu innych publikacji z tej dziedziny. Zapoznając się z wynikami ich badań ówczesny papież Jan Paweł II, w kontekście powszechnie panującego jeszcze wówczas sprzeciwu wobec ewolucji, zauważył i pod koniec jednej z takich sesji publicznie powiedział, że (cytuję) „ewolucja to jednak coś więcej niż zwykła hipoteza”. W środowiskach kościelnych nastąpił przełom. Nie upłynęło pół wieku, i papież Franciszek w roku 2016 wprost i jednoznacznie orzekł, że ewolucja nie jest przeciwna religii. Jak sądzę miał na myśli ewolucję darwinowską, nie spencerowską (on sam tego rozróżnienia nie wprowadził); ta bowiem, jak czytaliśmy wyżej, postulowała zmienność norm moralnych, na co teologia katolicka aktualnie zgody wyrazić nie chce. □

Korzystałem m. in. z publikacji: M. Sękowski, *Spencer i pozytywizm warszawski*, Lublin 1986, L. Kasprzyk, *Idee społeczno-polityczne Henryka Spencera*, Kraków 1961, L. Kasprzyk, *Spencer*, Warszawa 1967.

Czytaj koniecznie: Leonard Młodinow, *Krótką historia rozumu. Od pierwszej myśli człowieka do rozumienia wszechświata*, z ang. przeł. Sebastian Szymański, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2016, stron 472. Warto czytać!



JAN CZAJKOWSKI

## Natura *sacrum* i jego społeczna funkcja, cz. 3 (ostatnia)

### d) *sacrum* w chińskim konfucjanizmie

Mówiąc najogólniej, konfucjanizm jest doktryną moralno-polityczną, religijno-filozoficzną i światopoglądową głoszoną przez Konfucjusza i jego uczniów w Epoce Królestw Walczących (453-221 p.n.e.). W okresie tym Chiny nie były jeszcze zjednoczone przez władzę centralną. Walkom między samodzielnymi księstwami towarzyszył chaos społeczny przejawiający się w łamaniu zasad współżycia społecznego. Filozoficzną podstawą konfucjanizmu był omówiony wcześniej, w numerze 73 FMW, taoizm i głoszona przezeń teza, że wszystko co się dzieje, musi być zgodne z „ładem nieba” (*tao* Nieba). Dlatego też *sacrum* konfucjanizmu jest również harmonijny porządek kosmiczny przejawiający się w harmonijnym życiu społeczeństwa chińskiego.

Konfucjusz (551-479 p.n.e.), inaczej K'ung fu-tsy, czyli Mistrz Kung, urodził się w małym miasteczku Tsou w księstwie Lu leżącym w centralnych dzielnicach Chin, w ubogiej rodzinie. Wędrował od księcia do księcia proponując swoje usługi i zgromadziwszy grupę uczniów formułował swoją wizję życia społecznego. Punktem wyjścia jego reformatorskich pomysłów była odmienność niż w taoizmie interpretacja „upadku” człowieka. Taoizm, jak już wiemy, upatrywał upadek człowieka w jego samowiedzy, w możliwości odróżniania

dobra od zła. Konfucjusz natomiast ową samowiedzę uznał za „punkt startowy”, czyli odskocznnię do modyfikacji *tao* człowieka, czyli do przywrócenia harmonii między człowiekiem i porządkiem kosmicznym w ramach triady: niebo-ziemia-człowiek. Proponował zatem Konfucjusz następującą wizję społeczeństwa, które miało ukształtować się po okresie Walczących Królestw.

Od wieków struktura społeczna Chin opierała się na instytucji rodziny i pokrewieństwa. Człowiek bowiem, zdaniem Konfucjusza, tym różni się od zwierzęcia, że może żyć tylko w rodzinie, a rodzina może istnieć tylko w społeczeństwie. Była to rodzina typu patriarchalnego, oparta nie na uczuciu, lecz na jednoznacznym systemie wzajemnych zależności: syna od ojca, żony od męża, młodszych od starszych, ucznia od nauczyciela, poddanego od władcy. Za główną cnotę indywidualną i społeczną uchodziła miłość synowska, zwana także synowską nabożnością. Ta miłość synowska wymagała od człowieka troski o rodziców i o siebie samego. Z synowskiej miłości wynikał obowiązek szczerości (*sin*), nakazujący wyrażanie swego zdania w kwestiach spornych. Konfucjańska szczerość nie polegała jednak na mówieniu tego co się myśli, lecz na mówieniu tego, co w danych okolicznościach powinno się myśleć. A z tak pojmowanej miłości synowskiej wynikał obowiązek lojalności (wierności) wobec głowy rodu i państwa (M. J.

Künstler, *Sprawa Konfucjusza*, Warszawa 1983). Państwo natomiast uważane było za rozszerzoną rodzinę, rodzaj „nadrodziny”, jakby odbicie rodziny patriarchalnej. Rodzina i państwo („nadrodzina”) były odbiciem p o r z ą d k u k o s m i c z n e g o w miniaturze, były jakby mikrokosmosem.

Przywrócenie harmonii między człowiekiem a porządkiem kosmicznym Konfucjusz upatrywał w praktykowaniu czterech cnót, w których zawarte są wskazania etyczne zmierzające do uporządkowania życia społecznego. Tymi cnotami są: *žen – i – li – szī*. Przypatrzmy się każdej z nich po kolei.

Podstawową cnotą jest cnota *žen*. Jest ona samą istotą czci synowskiej, korzeniem i źródłem wszystkich innych cnót w konfucjanizmie. Określa ona właściwy stosunek do bliźniego i jest jednym z podstawowych pojęć konfucjanizmu. Polscy badacze konfucjanizmu oddają ją różnymi terminami, takimi jak humanitarność, ludzkość, ludzki stosunek do innych, życzliwość, dobroć, terminy te jednak nie oddają w pełni jej treści. Wyjaśniają więc, że polega ona na ludzkim i prawidłowym stosunku do wszystkich innych ludzi. *Žen* wymaga, by w każdym człowieku dostrzegać bliźniego, ale przyjaźnią darzyć wyłącznie tych, którzy odznaczają się cnotami; zadawanie się bowiem z ludźmi niecnotliwymi może przynieść szkodę. *Žen* nakazuje dostrzegać w człowieku to, co wartościowe, ale poleca również umiejętność widzenia jego wad po to, by samemu ich unikać, a bliźniego od nich odwieść.

Analizując wewnętrzną treść pojęcia *žen* Tadeusz Żbikowski w swojej książce *Konfucjusz* (Warszawa 1960, s. 155-165) wyjaśnia, że Konfucjusz miał ją sformułować po to, by odbudować prestiż zrujnowanej w owych



czasach arystokracji. W zakresie tego pojęcia mieściło się bowiem posłuszeństwo synowskie i wierność wobec władcy jako warunek prawdziwej humanitarności. Chcąc przywrócić rządy upadłego rodu Czou, należało go zjednoczyć i umocnić przez propagandę posłuszeństwa synowskiego i jedności rodowej. Z cnotą synowskiej powinności ściśle wiązała się cnota wierności władcy, któremu należało podporządkować się na wyższym, państwowym szczeblu. Cnota ta jest rozszerzeniem powinności synowskiej na powinność ministra wobec władcy. Osiągnięcie porządku społecznego wymagało wierności „Synowi Nieba”: tak ze strony prostego ludu, jak i urzędników oraz poszczególnych książąt. Dlatego też wierność władcy była jednym z elementów cnoty *žen*.

Drugim z elementów składowych cnoty *žen* była idea wzajemności, określająca stosunek władcy do poddanych, zwłaszcza do prostego ludu. Tę ideę można ująć w zasadę głoszącą – „nie czyni drugiemu co tobie niemiłe”. Prawidłowy stosunek władcy do poddanych miał zabezpieczyć państwo przed ewentualnymi buntami chłopskimi, odbierając chłopom powody do buntu. Cnota *žen* posiada zatem wymiar społeczny, a nawet kosmiczny, na niej

bowiem zbudowana jest cała hierarchiczna struktura państwa. Ona winna stworzyć jedność i harmonię społeczną, która z kolei stanowi odbicie jedności i harmonii kosmicznej.

Cnotę *li* tłumaczy się jako sprawiedliwość i prawość. Jej zadaniem jest regulowanie stosunków między ludźmi w zakresie obowiązków wynikających z zawartych umów.

Wielkie znaczenie wychowawcze posiada cnota *li*. Badacze wyjaśniają, że nazwa tej cnoty jest najtrudniejsza do przetłumaczenia. Oddaje się ją przez: przyzwoitość, rytuał, etykietę. Znane są wszak chińskie formy grzecznościowe. Obrzęd, etykieta jest w Chinach (była dawniej) najpotężniejszym czynnikiem tworzącym hierarchię w rodzinie i społeczeństwie. Cnota *li* reguluje wzajemną szczerłość i lojalność, hamuje spontaniczne odruchy i sprzyja utrzymaniu postępowania człowieka w określonych granicach. Rytuał w Chinach by szczegółowo opracowany. Obejmował około trzystu reguł „Wielkiego Rytuału” i trzy tysiące drobniejszych przepisów zawartych w konfucjańskiej „Księdze obrzędów”. Obejmował wszystko, poczynając od zwykłych gestów grzecznościowych, a na uroczystych ceremoniach religijnych kończąc. Przestrzeganie cnoty *li* miało być wyrazem czci i szacunku dla innych, wyrazem międzyludzkiej harmonii, będącej odbiciem harmonii kosmicznej. Etykieta była tym czynnikiem, który najsukuteczniej tworzył hierarchię w rodzinie i poza rodziną – w społeczeństwie. Była czynnikiem różniącym ludzi, wyznaczającym każdej jednostce jej własne miejsce w społeczeństwie. W Chinach nawet zwykły grzecznościowy ukłon, jak wyjaśnia m.in. Tadeusz Dajczer, nabierał głębokiego, kosmicznego

wymiaru. Cnota rytuału-etykiety (*li*) miała w ludzki sposób wyrażać jedność, porządek i harmonię wszechrzeczy. Była ona faktycznie tao konfucjanizmu. Dlatego właśnie w taoizmie i konfucjanizmie istnieje przekonanie, że przestrzeganie moralności wśród ludzi wpływa bezpośrednio na porządek i harmonię świata.

Zalecając praktykowanie etykiety (*li*) Konfucjusz chciał ukształtować moralność chińskiego społeczeństwa feudalnego, od cesarza poczynając a na ostatnim poddanym kończąc. Przytoczmy słowa M. J. Künstlera, jednego z najpoważniejszych znawców problematyki: „Skłóconemu światu rozpadających się stosunków feudalnych proponuje więc Konfucjusz ideał człowieka szlachetnego (*kün-tsy*), mądrego księcia, który władzę swą opiera nie na potędze fiskalnej i wojskowej, nie na rozległości swej domeny i liczebności poddanych, lecz na sile oddziaływania moralnego, na zniewalającej sile przykładu, na mocy, jaką daje cnota (*te*). Książę, który cnoty posiadał, może panować, lecz nie potrzebuje trudzić się działaniem, nie musi rządzić. Winien przede wszystkim spełniać przepisane obrzędy i kultywować swą cnotę, a jest to właśnie to samo, gdyż bez zachowania *li* nie ma cnoty. Działanie cnoty władcy jest tak przemożne, że wpływa ona na dalsze nawet kresy państwa i na wszystkich poddanych. Jest przy tym oczywiste, że ci, którzy są bliżej mądrego, cnotliwego władcy, więcej odniosą korzyści z doskonałości jego cnot niż ci, którzy są od niego dalej, ponieważ wpływ cnoty jest również hierarchiczny. Cnotliwy władca winien się otaczać również cnotliwymi mężami, którzy w jego imieniu będą kierować krajem” (*Konfucjusz*, wyd. cyt., s. 131).

Czwartą cnotą jest cnota *szu*, tłumaczona jako mądrość, umożliwiająca człowiekowi rozróżnianie między dobrem i złem przez osiągnięcie prawdy. Ta cnota wiąże się z chińską koncepcją „środką”. Należy wyjaśnić, że pierwotnie „Krajami Środka” (*Czung-kuo*) nazywano centralne dzielnice Chin, potem nazwę tę rozciągnięto na całe Chiny – „Państwo Środka”. Z czasem jednak termin ten nabrał innego, moralnego znaczenia (które bynajmniej nie wykluczało znaczenia wcześniejszego). Koncepcja „środką” zaczęła oznaczać umiarkowanie. Termin „środek” zaczął oznaczać to samo co termin „droga” (*tao*) jako równowaga i „położenie środkowe”, stanowiące naturalny stan kosmosu. Pojęcie to rozszerzono na sferę ludzkich działań: człowiek żyjący w zgodzie z Niebem, od którego otrzymał swą naturę, osiąga stan równowagi. Jego pożądania i uczucia winny również osiągnąć właściwy sobie umiar. W ten sposób, swoim postępowaniem przyczyni się człowiek do utrzymania ładu w świecie. Rozróżniając umiejętnie między dobrem i złem człowiek okaże się mądrym, osiągnie prawdę.

Należy przy tym wyjaśnić, że owa mądrość, przejawiająca się w postępowaniu humanitarnym, potrzebna jest jedynie ludziom szlachetnie urodzonym, arystokracji, jest natomiast niedostępna prostemu ludowi. Konfucjusz przyznaje ją tylko rodowej arystokracji, wywodzącej się od władców z dynastii Czou. Niższe natomiast warstwy społeczne, takie jak chłopci, rzemieślnicy i kupcy mogą dysponować umiejętnościami tylko praktycznymi, których nie posiadali i których wstydzili się arystokraci. Uprawianie pola czy robienie mebli to zajęcie chłopów i rzemieślników. Wyjaśniał Konfucjusz, że chłopów „należy

uczynić sobie podwładnymi i nie trzeba dawać im wiedzy”. Oni bowiem, dzięki swoim wrodzonym cechom nie mogą zrozumieć pewnych zjawisk i potrafią jedynie ogarnąć zwykłą, praktyczną umiejętność. Prosty lud mógł być ponadto żołnierzem i bić się za swych panów, a przede wszystkim zdolny był do brudnej, fizycznej roboty i nigdy nie był w stanie osiągnąć szerszej wiedzy. W konsekwencji stany społecznie niższe nie mogły osiągnąć cnoty *žen*. „Bywali szlachetni, którym brakło humanitarności (*žen*). Lecz jeszcze się nie zdarzyło, aby prostak tę cnotę posiadał”. (*Dialogi konfucjańskie*, Wrocław 1976, s. 138). Wskazania etyczne Konfucjusza, zmierzające do ukształtowania człowieka doskonałego, nie wyczerpują się w omówionych czterech cnotach. W ramach cnoty *žen* Konfucjusz umieszczał jeszcze inne cechy charakteru człowieka doskonałego, mianowicie: męstwo, szacunek, wielkoduszość, zaufanie, rozumienie pewnych zasad rządzenia poddanymi i dobroć. Nie będę jednak ich szczegółowo omawiał, nie są bowiem niezbędne dla ukazywanej tu problematyki *sacrum*. Polecam lekturę książki: M. Granet, *Religie Chin*, Kraków 1997.

#### e) *sacrum* w japońskim szintoizmie

Szintoizm jest religią kosmocentryczną, a jego *SACRUM* s t a n o w i ą p r a w a p r z y r o d y. Szintoizm jest religią naturalną, tzn. nieposiadającą swego założyciela. Pojawiła się ona jakby spontanicznie w zamierzchłych czasach (około 500 lat p.n.e.) i ewoluowała stopniowo obrastając mitami, w treści których obecne jest owo *sacrum*, a których analiza umożliwia tego *sacrum* zidentyfikowanie.

*Sacrum* zawarte jest już w samej nazwie tej religii, która brzmi SZINTO.

Otóż nazwę tę badacze tłumaczą dwójako: 1. „wytyczona przez bogów droga”, 2. „wzorowanie się na bogach”. Bogowie ci nie są bogami osobowymi w rodzaju Boga chrześcijańskiego czy Allaha mahometańskiego. Bóstw w szintoizmie jest bardzo wiele, a po japońsku zwane są *kami*, czyli „duchy”. Są to bóstwa obecne w każdym miejscu natury. Uświęcają one całą przyrodę – góry, rzeki, kamienie i wszelkie inne zjawiska przyrodnicze. Kami są jednak tylko personifikacjami określonych sił przyrody, i nie objawiły człowiekowi żadnej nauki. To właśnie pozwala zakwalifikować szintoizm do grupy religii kosmocentrycznych. W przyrodzie bowiem istnieje racjonalny porządek regulowany funkcjonującymi w przyrodzie prawami. Przykładem zaczerpniętym z japońskiej mitologii jest przyrodnicza siła ognia. Jej personifikacją jest bóg ognia, którego mitologia przedstawia jako potomka bogini Yizanami. Posiada on głowę, tułów, kończyny i krew jak każdy człowiek. Bóg ognia jest ogniem, a ogień to określona siła przyrodnicza. Innym przykładem jest bóg Amanomina Kasumi-no-kami, którego imię tak tłumaczy rzeczoznawcy: „Pan Strzegący Snu Wszelkiego Bytu Gdziekolwiek On się Rozciąga”. Bóstwo to jest personifikacją materii wszechświata, pojmowanej w swoich początkach jako materia „śpiąca”, bądź „nieruchoma”, gdziekolwiek by się nie znajdowała. Każde bóstwo japońskiego panteonu pojmowane jest trojako: jako przejaw naturalnych sił przyrody, jako przejaw bądź wyraz świętości i jako istota ujawniająca się ludziom. Istotne jest to pierwsze pojmowanie bóstw – jako przejawów naturalnych sił przyrody. Ono decyduje

o charakterze kosmocentrycznym szintoizmu. Dwa następne sposoby pojmowania są ujęciami wtórnymi, spreparowanymi przez człowieka skłonnego do metafizycznych i obrazowych interpretacji świata i obrazowego przedstawiania jego elementów.

Japoński panteon mieści się w niebie, z którego bogowie kierują całym światem, a zwłaszcza ziemią i jej mieszkańcami, a wśród mieszkańców w szczególny sposób Japończykami. Człowiek jednak nie jest przeznaczony do przyszłego życia w niebie. Zadanie człowieka jest inne. W szintoizmie nie ma koncepcji „życia przyszłego”, ani „czasów ostatecznych”, ani tzw. „końca świata”. Człowiek jest ogniwem w łańcuchu wydarzeń i przemian kosmicznych, w którym ma swoje ściśle określone miejsce i zadania. Zadania te, według mitologii japońskiej, wynikają z koncepcji pochodzenia człowieka.

Otóż według tej mitologii bóstwa niebiańskie zesłały kiedyś z nieba na ziemię pierwszą parę demiurgów, polecając im uporządkowanie obszarów podniebnych, czyli „śpiącej”, „nieruchomej” materii-magmy. Demiurgowie ci rozmnożyli się i od nich pochodzą kolejne pokolenia potomków, w tym ludzie, a zwłaszcza Japończycy. Zadaniem tych wszystkich istot łącznie z ludźmi jest porządkowanie świata. Ciągłe porządkowanie i przetwarzanie, a w ten sposób pozostawianie po sobie swojego śladu na ziemi. Zadaniem człowieka jest przygotowanie lepszej przyszłości tego świata, w którym się żyje. W pracy tej nie wolno popełniać błędów. Należy ją prowadzić zgodnie z prawami przyrody, od których nie wolno się wyłamywać. Czyny człowieka oceniane

są według ich skutków. Jeśli skutki czynów są dobre, to i czyny były dobre, zgodne z aktualną fazą działalności wszystkich istot. Jeśli czyny przyniosły skutki negatywne, to były wykonywane nieprawidłowo, *n i e z g o d n i e z p r a w a m i n a t u r y*. Ocenia się je jako społecznie złe i moralnie nieczyste (po japońsku – *tumi*).

Japoński szintoista posiada wobec *kami* różne obowiązki. Głównym obowiązkiem jest posiadanie *makoto*, czyli szczerości, dobrego „prawdziwego” serca, które winno iść drogą *kami*. Co więcej, cała ludzkość uważana jest za dzieci *kami* i dlatego ludzka natura jest święta. W etyce szintoizmu zawarte są tzw. „Cztery Twierdzenia” (które należy rozumieć jako tezy bądź zasady kierujące życiem szintoisty) Pierwszym *twierdzeniem* jest troska o rodzinę i przodków, co przyczyniło się w Japonii do rozwoju kultu przodków i klanów rodzinnych. Drugim twierdzeniem (postulatem) jest miłość do natury, bo w każdym jej aspekcie przejawiają się *kami*. Trzecim twierdzeniem jest czystość fizyczna, a czwartym postulatem jest *matsuri*, czyli święto ku czci *kami*. Swoje własne, jakby „prywatne” *kami* posiada cesarz, on bowiem jedyny z całego narodu wywodzi się z japońskiego panteonu, posiada tytuł „Syna Niebios” i tylko on po swej śmierci idzie do nieba. A dokąd po śmierci idą wszyscy inni Japończycy? Otóż po śmierci ciało japońskiego szintoisty składano na spoczynek w skalnych pieczarach, które w mitach uważano za podziemną krainę umarłych – „Obszar Gdzie się Uzdrawia, Oczyszcza i Ocala”, lub „Obszar Gdzie się Uzdrawia, Oczyszcza i Odradza” – w której zmarły był oczyszczany ze wszystkiego, czym się zbrukał za życia. Po oczyszczeniu duch zmarłego

przedostawał się na szczyty gór (uważanych w Japonii za święte), skąd poprzez wejście w inne ciało mógł nadal uczestniczyć w porządkowaniu i urządzaniu świata. Wyjątek stanowili, jak wspomniano, członkowie rodu cesarskiego, którzy po śmierci szli prosto do nieba. Ta właśnie wiara w oczyszczone duchy zmarłych, pomagające nadal swemu narodowi, stała się w Japonii podstawą kultu przodków.

Przytoczmy jeszcze wypowiedź Wiesława Kotańskiego z jego artykułu *Shinto – religia Japonii* („Argumenty” 1987, nr 9): „Harmonizuje (z tym) oparta na mitologii wiedza, że wyspy japońskie zrodzili bogowie i rozkwitają one odtąd bujnym życiem, dostarczając pożywienia, schronienia, ubrania i satysfakcji estetycznej licznym mieszkańcom, którzy również – jak wiemy – wywodzą się od bogów ziemi i nieba. Jest to więc naród wybrany, wyjątkowy, bliski bogom, obcujący z nimi na co dzień i dzięki nim prosperujący. Bogowie nadali temu narodowi organizację polityczną na wzór i podobieństwo panującej wśród niebian, gdzie zgodnie z mitologią nie brak nawet organów ścigania ani wojska. A więc i państwo ziemian jest w tym przypadku tworem boskim, nie podlegającym ocenie ze strony niższych hierarchicznie obywateli podniebia, o ustroju na wieki niezmiennym. Państwo pojmuje się jako całość, której wszystkimi członkami kieruje jedna koncepcja rozwojowa, zasadzająca się na tym, że władzę monarszą sprawuje potomek w linii prostej bogini nieba, sam też boski i mający od tejże bogini mandat na rządy nad ziemią i za jej błogosławieństwem optymalnie organizujący przez pośrednictwo oddanych sobie urzędników, życie kraju. Taka jest wola bogini nieba, którą uważa się za zwierzchnika wszystkiego

na niebie i pod niebem i nikt tego odwołać nie jest w stanie, a wszelkie próby zanegowania jej woli byłyby świętokradztwem o trudnych do przewidzenia skutkach w postaci jakiejś plagi, czy wręcz kataklizmu ogólnonarodowego”.

W roku 1945 po wybuchu bomb atomowych nad Hiroszimą i Nagasaki, cesarz japoński został zmuszony przez władze amerykańskie do zakomunikowania przez radio całemu narodowi, że nie jest Synem Niebios, lecz zwykłym człowiekiem. Naród przeżył szok, z czasem jednak pogodził się z tym faktem. Zmieniono konstytucję, zatrzymując szintoizm jako tradycyjną religię Japończyków, dopuszczono istnienie również innych wyznań religijnych. Zainteresowanym naszym Czytelnikom polecam wartościowe publikacje: W. Kotański, *Japońskie opowieści o bogach*, Warszawa 1983. *Dziesięć tysięcy liści*. Antologia literatury japońskiej, przekład z jap., wstęp i komentarz W. Kotański, Warszawa 1961. Posiadamy również w języku polskim *Kojiki czyli księga dawnych wydarzeń*, T. 1-2, przekład i komentarz W. Kotański, Warszawa 1986; patrz także: Jolanta Tubielewicz, *Mitologia Japonii*, Warszawa 1986.

#### **f) sacrum w buddyzmie**

Sacrum w buddyzmie stanowią odwieczne, kosmiczne i moralne prawa, odwieczne Prawo Świata, które znajduje wyraz w przyczynowej odpłacie za popełnione uczynki. To prawo zajmuje w buddyzmie miejsce, które w religiach teistycznych przysługuje Stwórcy i Sędziemu świata. Dlatego buddyzm jest religią kosmocentryczną.

Buddyzm jednak od samego swego początku religią nie był. Był filozofią, w dodatku ateistyczną. Owszem,

istnieją w buddyzmie różne bóstwa, Budda bowiem, ustępując przyzwyczajeniom swoich zwolenników, powiedział o bogach, że „mogą istnieć”. Pozwalał nawet składać im ofiary, wspominał o niebie z jego szczęśliwością i tymczasowym piekle z jego utrapieniami, ale wszystko to, zdaniem Buddy, istnieje tylko dla tych, którzy wierzą w to istnienie, gdyż jeszcze nie osiągnęli oświecenia. Są to jednak przemijające bóstwa karmiczne, takie jak Brahma, Indra i inne, ale są one tylko symbolami sił przyrody, sił kosmicznych, nie są natomiast wzorami osobowymi do naśladowania, są ograniczone niewiedzą i w oczach mnichów buddyjskich znajdują się o wiele poniżej świętych. Buddyzm tylko w postaci zhinduizowanej przybrał formę teistyczną.

Jak zatem wygląda buddyjski obraz świata? Przedstawia się on, w skrócie, następująco. W nieskończonej przestrzeni znajduje się nieskończenie wiele światów, zamieszkałych przez nieskończenie wiele istot. Każdy świat dzieli się na trzy strefy, leżące jedna nad drugą: strefę rozkoszy zmysłowych, strefę czystych form i strefę bezpostaciową. W najniższej strefie znajdują się zimne i gorące piekła, ziemia zaś przedstawiana jest jako okrągła tarcza z kontynentami i morzami, na której żyją niżsi bogowie, ludzie i zwierzęta, demony i upiory. W strefie czystych form żyją pozbawione żądz bóstwa o subtelnych ciałach, a w strefie bezpostaciowej żyją te istoty, które nie mają żadnych zewnętrznych form materialnych i przez całe tysiąclecia pogrążone są w medytacji. Każdy świat przechodzi coraz to na nowo cykl powstawania, trwania, przemijania i nieistnienia.

Cały proces świata przebiega stosownie do odwiecznych kosmicznych

i moralnych praw. Buddyzm klasyczny (Buddy), będąc religią bez Boga, religią ateistyczną, odrzuca istnienie jakiegoś boskiego stwórcy i rządcy świata, ponieważ wyobrażenia jednej wszechmocnej, wszechwiedzącej i najlitościwszej istoty nie da się pogodzić z istnieniem świata pełnego bólu i zła moralnego, oraz z okrutnym karaniem tych, którzy popełnili zło, przez męki piekielne. Wszystko co dzieje się na świecie jest wynikiem automatycznego działania prawa przyczyny i skutku, odpłaty za dobre i złe czyny, które to prawo z zachowaniem doskonałej sprawiedliwości i bez osobistych sympatii czy niechęci nagradza wszystko, co dobre i karze wszystko, co złe.

Filozofia będąca podstawą buddyzmu podkreśla nieustanną zmienność wszystkiego, co istnieje. Nie ma niczego, co nie miałooby początku lub końca, nie ma też niczego, co posiadałoby substancjalne samodzielne istnienie – ani wieczna materia, ani wieczne dusze, ani też wieczny Bóg. Niezmienne są tylko odwieczne prawa świata, pusta przestrzeń i nirwana.

Podstawą całego światopoglądu buddyjskiego jest nauka o czynnikach istnienia. To, co my Europejczycy nazywamy osobowością człowieka, w buddyzmie nie istnieje. U nas, np. w filozofii chrześcijańskiej, osoba ludzka składa się z przemijającego ciała i nieśmiertelnej duszy. Osobowość ta, raz stworzona przez Boga, jest wieczna. Dusza będzie żyć po śmierci ciała, a na sądzie ostatecznym połączy się ponownie ze swoim ciałem, które kiedyś opuściła (dogmat o ciał zmartwychwstaniu). Inaczej jest w buddyzmie. Tam wszystko co istnieje powstaje wskutek współdziałania „dharm”. Dharmy są owymi czynnikami istnienia, powstającymi i znowu

przemijającymi, a między sobą zależnymi funkcjonalnie. Dharmy są formami przejawiania się powszechnego prawa przemijania świata. Są one „nosiicielami swej własnej właściwości”, tzn. są ostatnimi, nie dającymi się już sprowadzić do czegoś innego siłami, które współdziałają ze sobą według określonych praw. „Dharmy są właściwościami bez właściciela, stanami bez podmiotu, który je przeżywa, procesami bez podłoża, na którym się dokonują. Istoty żyjące i rzeczy niematerialne nie są dharmami, lecz połączeniem ich wielkiej liczby. Dopiero zespołowe działanie dharm stanowi istotę osobowości, która nam tylko wydaje się trwałą jednością; w rzeczywistości jednak trwała nie jest, bo zmienia się pod względem tak cielesnym jak i duchowym. To tylko ciągłość procesów życiowych dostarcza nam złudy istnienia substancji duchowej zwanej duszą. Kiedy jednak człowiek umrze, wtedy wcale nie ustaje zasilany przez trwanie karmy strumień świadomego życia. Po śmierci człowieka życie trwa nadal i ono jest podstawą dla powstania nowej istoty, która, choć różni się od zmarłego, kontynuuje jego życie jako spadkobierca jego dzieła. Ze zmarłych istot powstają nowe istoty, z istniejącej obecnie osobowości wyłaniają się osobowości przyszłe. Jest to tzw. doktryna zależnego powstawania, trudna do pojęcia dla naszych europejskich umysłów, wykształconych na filozofii zachodniej (Helmuth von Glasenapp, *Religie niechrześcijańskie*, Warszawa 1966, s. 68-74).

Dość trudne pojęcie „dharmy” przybliży czytelnikowi Tadeusz Dajczer, gdy pisze, że „w buddyzmie koncepcja dharmy nie odnosi się ani do kast, ani do okresów życia, ale dotyczy wspólnoty buddyjskiej zwanej *samgha*.



W doktrynie Buddy dharma buddyjska stanowi jedynie część powszechnego świata, kosmicznej Dharmy. Jest to najwyższa nieosobowa zasada wszechświata, w której zbiegają się wszystkie pojęcia naturalnego prawa i moralnego porządku świata. Jest niewzruszonym, niezachwianym nosicielem tego wszystkiego, co dokonuje się w świecie, normą, która rządzi wszystkimi wielkimi i małymi wydarzeniami naturalnego i moralnego życia. (...) W ostatecznej

analizie stanowi ona zespół przemijających psycho-fizycznych zjawisk lub czynników bytu zwanych dharmami, w których manifestuje się odwieczna Dharma. Rzeczywistość empiryczna składa się jedynie ze strumienia tych elementarnych zjawisk – atomów, powstających i przemijających oraz zależnych między sobą funkcjonalnie, tak że każdy moment empirycznej egzystencji jest tylko ich specyficznym układem. One to wywołują prawa rodzenia się, zamierania i powtórnych narodzin, oraz wzajemnej zależności przyczynowej; działają także w normach, przepisach, nakazach, uprawnieniach, obowiązkach, jak również w nauce Buddy o wybawieniu. Są zawarte *implicite* w przekraczającym świat zjawisk ostatecznym celu wszystkich dążeń, w nirwanie, która nazywa się również najwyższą dharumą. Sens kosmicznego porządku (który obejmuje również „prawo karmana”), jak i sens drogi wybawienia, zawierającej w sobie normy moralne Buddy, połączone są w jedną całość. Wszystkie moralnie pozytywne czy negatywne czynności są temu porządkowi poddane, tak że dobry czyn pociąga za sobą nagrodę, a zły karę. Moralna jakość czynów dokonanych przez człowieka słowem, myślą lub czynem w czasie ziemskiej egzystencji warunkuje powtórne narodziny, włącznie z tym wszystkim, co jest z nim powiązane (środowisko, dziedziczenie, uzdolnienia itd.). Wskutek tego cały kosmos nie jest niczym innym jak ciągłą manifestacją nieubłaganych konsekwencji moralnych lub niemoralnych czynności jego niezliczonych żywych istot.”

Według buddyzmu świat nie ma swojej pierwszej przyczyny ani żadnego celu ostatecznego. Istniejący świat jest kołem istnienia, wszystkie zaś

„jaźnie” pojawiające się w nim, są mocno z tym kołem związane. Człowiek jest tym czym jest, jednak jest niedoskonały, nieszczęśliwy i pełen cierpienia. Przyczyną tego nieszczęścia i cierpienia jest pożądanie bytu, a przyczyną tego pożądania jest niewiedza. Budda głosił, że od tej niewiedzy człowiek winien sam się uwolnić za pomocą nauki (tej głoszonej przez Buddę). Każdy człowiek może sam, własnym wysiłkiem, introspekcją i samokontrolą osiągnąć zbawienie, dlatego medytacja odgrywa w buddyzmie tak wielką rolę. Budda, podobnie jak w starożytnej Grecji w IV w. p.n.e. Sokrates, bezgranicznie wierzył, że człowiek myślą, wolą i rozumem może sam kształtować swe życie i swój wieczny los. Nauczał on, że podobnie jak kąpiący kanał doprowadza tym kanałem wodę, a stolarz nadaje nowy kształt drewnu, tak mędrzec ma kształtować i wziąć w karby samego siebie. Przed swą śmiercią Budda określił człowieka następującymi słowami: „Przemijająca jest każda postać (bytu) i zabiegajcie gorliwie o swoje zbawienie”. (T. Dajczer, *Porządek kosmiczno-moralny w religiach niechrześcijańskich*, Studia Theologica Varsaviensia 1976, nr 1).

Celem tych wszystkich zalecanych przez Buddę zabiegów jest uwolnienie się od życia i powtórnych narodzin, a nawet zgaśnięcie istnienia. Cel ten zwie się nirwaną, tzn. właśnie „zgaśnięciem” bądź „zgaszeniem”. Człowiek tylko przez pozbycie się pragnienia życia może wejść do absolutnej „nicości”, która nie jest ani bytem ani niebytem, a tego „wejścia w zaśnięcie” doznaje się za życia przez o s w i e c e n i e, realnie zaś przez ś m i e r ć.

„Powiadają, że nirwana jest wieczna, stała, niezniszczalna, niewzruszona,

nieskończona, nieśmiertelna, nie zrodzona i niestwarzalna, że jest mocą, błogością i szczęściem, spokojną przystanią, schronieniem i niewzruszonym bezpieczeństwem, że to rzeczywistość Prawda i najwyższa Rzeczywistość; że jest to dobro, najwyższy cel i jedyne spełnienie naszego żywota, wiekuisty, ukryty i niepojęty Spokój” (E. Conze, dz. cyt., s.40).

## Zakończenie

W niniejszym artykule usiłowałem wyodrębnić sacrum stanowiące jądro religii kosmocentrycznych, scharakteryzować je i otoczyć komentarzem ukazującym jego społeczną funkcję. Owo święte jądro każdej religii funkcjonuje w społeczeństwie otoczone również świętymi obiektami, rzeczami, symbolami i czasami. Są nimi świątynie, miejsca pielgrzymkowe (np. Lourdes, Częstochowa, Piekary Śląskie i wiele, wiele innych), naczynia i szaty liturgiczne, symbole religijne (np. krzyż), Pisma święte, dni święte, dłuższe czasokresy święte np. *Triduum Sacrum* – są to trzy ostatnie dni (czwartek, piątek i sobota) Wielkiego Tygodnia przed Wielkanocą. Świętość ich jest pochodna, jakby wywiedziona ze świętości owego sacrum metafizycznego, wobec którego pełnią funkcje usługowe.

Przewidujemy odrębny artykuł poświęcić buddyzmowi, gdyż tutaj identyfikowaliśmy tylko jego sacrum, tymczasem w buddyzmie istnieje wiele innych wątków godnych uwagi. Tymczasem naszym Czytelnikom zainteresowanym tą problematyką polecamy, prócz publikacji wymienionych wyżej w tekście artykułu, dodatkowo: E. Słuszkiewicz, *Budda i jego nauka*, Warszawa 1965; T. Schweer, *Buddyzm: powstanie, dzieje, nauka*, Warszawa 2003. □

DANUTA WANIEK

## Czy narodowcy stanowią zagrożenie dla demokracji w Polsce?

Przemiany ustrojowe dokonujące się po 1989 r. sprawiły, że na fali demokratyzacji stosunków wewnątrzpolitycznych w duchu pluralizmu, oprócz znanych w PRL nurtów partyjnych pojawiły się nowe ugrupowania ideowo – polityczne, które zamierzały czynnie uczestniczyć w budowie nowego porządku ustrojowego. Wśród nich znaleźli się również wyznawcy ideologii nacjonalistycznej, którzy szukali dla siebie miejsca w nowych uwarunkowaniach politycznych.

Nowe organizacje o zabarwieniu nacjonalistycznym pojawiły się w Polsce zaraz po wyborach z 4 czerwca 1989 r. (Stronnictwo Narodowe Senioralne, Stronnictwo Narodowe „Szczerbiec”), a ich reprezentanci ogłosili, że przejmują tradycje przedwojennego ruchu narodowego, w szczególności symbolikę Obozu Wielkiej Polski (OWP; hymn, symbol miecza Chrobrego z orłem białym w koronie i z krzyżem, wznowienie wydawania tytułu prasowego „Głos Narodu”, odwoływanie się do koncepcji katolickiego państwa narodu polskiego).

Nie skończyło się jednak na utworzeniu jednej neoendeckiej organizacji, ponieważ w szybkim tempie w przestrzeni publicznej zaczęły się pojawiać i inne inicjatywy o zabarwieniu narodowym, organizowane w wymiarze lokalnym, czy regionalnym. O zainteresowaniu organizacjami nacjonalistycznymi świadczy to, że w 1994 r. w Polsce już działało ponad 50 niewielkich ugrupowań

narodowych. Elementem łączącym te organizacje była zmitologizowana postać współtwórcy ruchu narodowego (endecji) – Romana Dmowskiego i jego doktryna polityczna, polegająca na odrzuceniu ideologii liberalnej, pluralizmu i zasady rozdziału kościoła od państwa.

Rzecz dziwna, mimo drastycznego charakteru działań organizacji narodowo-radykalnych w okresie międzywojennym, w ostatnich latach nawet w prasie liberalnej rzadko przypominało wydarzenia i fakty, będące dziełem faszystujących organizacji politycznych<sup>1</sup>. Sprzyja to w obecnych warunkach łatwemu rozpowszechnianiu się narracji narodowo-radykalnej. Wydaje się, że dziś łatwość mitologizowania endecji wynika m.in. z zatarcia się doświadczenia pokoleniowego; odeszli już ludzie, którzy

<sup>1</sup> Wyjątkiem był tygodnik „Polityka”, który przypominał historię pogromów i wymuszania na uczelniach wyższych getta ławkowego dla studentów narodowości żydowskiej.

„czyny i rozmowy” narodowców pamiętali z autopsji.

Jednym z ostatnich, który krytycznie odświeżał zbiorową pamięć o ugrupowaniach endeckich, był Kazimierz Koźniewski (1919-2005). Blisko 40 lat temu scharakteryzował rodzaj endeckiej mentalności jako „bogoojczyźnianej, klerykalnej, nacjonalistycznej, rasistowskiej, antymniejszościowej, antyniemieckiej, lecz faszyzującej, pełnej mało uzasadnionych tęsknot imperialistycznych, obskuranckiej i dewocyjnej w pojmowaniu narodowej przeszłości, kołtuńskiej w obyczajach, wstecznej i wrogiej wobec wszelkiego postępu, zarówno w domenie obyczajowej, jak i społecznej, wrogiej socjalizmowi i komunizmowi, rozumianym zresztą w sposób najbardziej prymitywny”<sup>2</sup>. Nie można też nie zauważyć monografii ONR, wydanej w 1986 r. przez Szymona Rudnickiego, pełnej interesujących nazwisk, analizy postaw ideologicznych i faktów, których treść może być przestrożą dla tych, którzy bezrefleksyjnie utożsamiają dziś nacjonalizm z patriotyzmem. Współcześnie stały monitoring aktywności narodowców prowadzi Stowarzyszenie „Nigdy Więcej” poprzez publikację antyfaszystowskiego czasopisma pod tym samym tytułem. Stowarzyszenie to zostało założone w 1996 r. przez Marcina Kornaka (1968–2014), który powtarzał, że „najważniejsze, to zareagować. Nie godzić się na agresję i prześladowanie innych”. Przestrzegając, że „sprawa sama się nie rozwiąże” i apelował: „nigdy więcej faszyzmu, rasizmu, dyskryminacji, szykanowania! Nigdy więcej nie przechodź obojętnie!”.

<sup>2</sup> K. Koźniewski, *Zostanie mit*, Warszawa 1980, s. 39.

Za organizację o nacjonalistycznym charakterze najdłużej działającą w okresie powojennym uznawane jest Narodowe Odrodzenie Polski (NOP), utworzone nielegalnie 10 listopada 1981 r. W ówczesnych warunkach działał jako ruch ideowo-polityczny, jednakże w 1992 r. przez to samo środowisko zostaje utworzona partia pod nazwą Narodowe Odrodzenie Polski, która odwołuje się do dziedzictwa przedwojennych narodowych radykałów, a w szczególności do środowiska ONR „ABC” oraz konspiracyjnej grupy „Szańca”. Organizacja ta utrzymuje regularne kontakty z nacjonalistami innych krajów europejskich. Udaną próbą zjednoczenia ruchu narodowego o zabarwieniu religijnym było utworzone w październiku 1989 r. Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe (ZChN), które zakończyło swą działalność w 2010 r., oddając pole Lidze Polskich Rodzin (LPR, utworzonej w 2001 r.) i Młodzieży Wszechpolskiej (MW; reaktywowanej na początku lat 90 najpierw w Poznaniu, a później w innych ośrodkach akademickich).

Z dziełem wprowadzenia na scenę polityczną ruchu narodowego w nowej formule organizacyjnej łączy się postać Romana Giertycha, który –wspierany przez Radio Maryja – w sejmowej kadencji 2005–2007 po raz pierwszy w historii III RP wprowadził do parlamentu na listach LPR członków Młodzieży Wszechpolskiej – organizacji nacjonalistycznej, zorganizowanej według modelu wodzowskiego, z hasłami ksenofobicznymi, nastawionymi na konfrontację z mniejszościami społecznymi, a zwłaszcza z seksualnymi, nie wykluczającą

użycia przemocy. Po przegranej „IV RP” w 2009 r. część narodowców zaktywizowała swą działalność w Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych oraz w powołanym do życia w marcu 2005 r. Obozie Narodowo-Radykalnym (ONR), który odwołuje się do tradycji przedwojennego ONR-Falangi.

W ostatnich wyborach wprowadził do Sejmu pięciu narodowców Paweł Kukiz (w 2015 r.); klub Kukiz15 opuścił wkrótce jeden z nich – Robert Winnicki, z zamiarem utworzenia własnego koła parlamentarnego.

## **1. Stosunek Konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. do politycznych radykalizmów**

Twórcy obowiązującej Konstytucji z 2 kwietnia 1997 r. w art. 13 dali wyraz temu, że w systemie ustrojowym III RP nie ma miejsca na radykalne – zarówno lewicowe, jak i prawicowe – ugrupowania polityczne. Wynika to wyraźnie z treści art. 13 Konstytucji, który mówi:

Zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszystów i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa, albo przewiduje utajnienie struktur lub członkostwa.

Artykułem tym twórcy Konstytucji wprowadzili odrębny przepis wynikający z doświadczeń historii, który był podyktowany obawami o możliwość pojawienia się zagrożeń dla demokratycznego porządku ustrojowego, wpływających

n.p. „z posiadania monopolu przez jedną partię na sprawowanie władzy, przy tym partię przyjmującą niedemokratyczne struktury działania i ideologię”.

Nie ulega więc wątpliwości, że Konstytucja zakazuje istnienia takich partii politycznych i organizacji, które opierają swą działalność na trzech podstawowych przesłankach:

– odwoływaniu się w programach do metod i praktyk, cechujących nazizm, faszystów i komunizm;

– wbudowaniu w program nienawiści rasowej i narodowościowej, bądź stosowania przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa;

– utajnieniu przez partie i organizacje członkostwa i struktur.

Wśród konstytucjonalistów panuje opinia, że organizacja, której charakterystyka odpowiada chociażby jednej ze wskazanych cech, nie powinna być wpisana do ewidencji partii politycznych.

Należy podkreślić, że w związku z treścią art. 13 Konstytucji pozostają jej inne normy, a w szczególności: zapisane w art. 30 poszanowanie i ochrona godności człowieka, w art. 32 – równość wszystkich wobec prawa i zakaz dyskryminacji z jakiegokolwiek przyczyny, oraz w art. 35 – ochrona praw mniejszości narodowych.

Nie można w tym miejscu pominąć, że w związku z normami konstytucyjnymi pozostają przepisy art. 119, 256 i 257 Kodeksu Karnego<sup>3</sup>, które wśród przestępstw ściganych z urzędu konkretyzują te czynności sprawcze, polegające na stosowaniu przemocy lub groźby bezprawnej wobec grupy osób, albo osoby

<sup>3</sup> Ustawa z dnia 6 czerwca Kodeks Karny. Dz.U. nr 88, poz. 553 z późn. zm.



z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej, lub z powodu jej bezwyznaniowości (art. 119 kk).

Ścigane z urzędu i karane powinny być przestępstwa polegające na propagowaniu ustroju faszystowskiego lub innego totalitarnego, lub nawoływaniu do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych, albo ze względu na bezwyznaniowość (art. 256 kk). Do takiej samej grupy przestępstw kodeks karny zalicza publiczne znieważanie grupy ludności albo poszczególnych osób z powodu ich przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej, bądź z powodu ich bezwyznaniowości, lub jeśli z wymienionych powodów sprawca narusza nietykalność cielesną innej osoby (art. 257 kk).

Nie ulega więc wątpliwości, że polskie organy ścigania dysponują wystarczającym instrumentarium prawnym,

aby państwo mogło skutecznie uporać się z przestępstwami zarówno godzącymi w demokratyczny porządek ustrojowy, jak i z przestępstwami popełnianymi z nienawiści.

Konstytucja z 2 kwietnia 1997 r. w przepisie art. 13 wskazuje jako adresata radykalne partie polityczne i organizacje, a czyni to z uwagi na ważne funkcje, jakie partie ogólnie odgrywają w demokratycznym porządku ustrojowym (m.in. kształtowanie opinii publicznej, funkcja wyborcza, funkcja rządzenia).

Z brzmienia tego artykułu wynika, że Konstytucja na równi potraktowała wskazane radykalizmy polityczne i płynące z nich potencjalne zagrożenia dla demokratycznego porządku ustrojowego<sup>4</sup>. Rzecz jednak w tym, że w praktyce politycznej zwolennicy „komunizmu” nie znaleźli w społeczeństwie III RP gleby dla poparcia swych ideologicznych racji. Ugrupowania polityczne, odwołujące się do tej ideologii (najpierw Związek Komunistów Polskich „Proletariat”, a po jego likwidacji Komunistyczna Partia Polski) należy zakwalifikować jako niszowe formuły aktywności politycznej, w zasadzie bez szans na zmianę swej sytuacji we współczesnym społeczeństwie polskim.

Jednakże propaganda polityczna, wykreowana w latach 90 przez obóz zwycięski w wyborach 1989 r, już w początkach przemian ustrojowych wpuściła w obieg polityczny szereg tez, zawołań i hasel sugerujących, że dokonujące się przemiany ustrojowe są nieustannie zagrożone

<sup>4</sup> Z doświadczenia historycznego wynika, że NSDAP przejęła w 1933 r. władzę legalnie, w legalnych też okolicznościach doszedł do władzy we Włoszech Benito Mussolini.

ze strony „komunistów”. Jak zauważył A. Walicki, wszystko co nawet trąciło PRL było z miejsca złe, także dorobek Polaków z tego okresu<sup>5</sup>. Określenie „komunista” stało się znakiem zła, wobec którego nie ma miejsca na kompromisy<sup>5</sup>.

Rzecz jednak w tym, że określenia te były adresowane nie do niszowych partii komunistycznych, bo ich istnienie nie miało politycznego znaczenia, lecz używano ich na ogół w sporach (zwłaszcza parlamentarnych) odnoszących się do zakresu likwidacji państwa opiekuńczego, prywatyzacji, likwidacji miejsc pracy, zamachu na prawa kobiet, bezradności wobec lawino narastającego bezrobocia, utrzymania rozdziału Kościoła od Państwa. W praktyce przywołane epitetety kierowane były najczęściej w stronę nowej formacji lewicowej (najpierw SdRP, a następnie SLD), które powstały po 1989 r.<sup>6</sup> i choć deklarowały socjaldemokratyczny system wartości, a przez kilkanaście lat otrzymywały w wyborach znaczące poparcie społeczne, to jednak systematycznie podważano ich „moralne prawo” do pełnoprawnego uczestniczenia w życiu politycznym. Andrzej Walicki nazwał ten rodzaj ataków mianem przemocy symbolicznej, inicjowanej w dużej mierze przez środowisko Unii Wolności i „Gazetę Wyborczą”<sup>7</sup>.

<sup>5</sup> A. Walicki, *Radikalizacja prawicy przyspiesza*, „Kultura Liberalna”, 19.11.2013, nr 254.

<sup>6</sup> Chodzi o Socjaldemokrację Rzeczypospolitej Polskiej, utworzona 29 stycznia 1990 r. oraz o Sojusz Lewicy Demokratycznej, utworzony 16 lipca 1991 r. jako koalicja partii i ugrupowań lewicowych.

<sup>7</sup> Rozmowa Krzysztofa Piławskiego z prof. Andrzejem Walickim pt. *W Polsce nie było komunizmu*, „Przegląd” z 2.12.2013. Także: A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Warszawa 2013.

Paradoksalnie, SLD wbrew ustawicznym podejrzeniom o „komunizm”, dzięki znaczącemu poparciu społecznemu włączył się w proces przemian ustrojowych, czynnie stabilizując porządek III RP. Opowiedział się za przystąpieniem do NATO i Unii Europejskiej, co jednak nie ostudziło emocji autorów niewybrednych obelg politycznych, kierowanych pod adresem jej przywódców i członków. I choć PRL dawno odeszła w przeszłość, rytuał dezawuowania domniemych „komunistów” i „komunizmu” (dziś zastępuje je zarzut „lewactwa”) aktualizowany jest w zależności od potrzeb aktualnych zwyciężskich partii politycznych (zwłaszcza odwołujących się do solidarnościowego rodowodu, takich jak PO i PiS).

Równoległe, z dużym nasileniem w przestrzeni publicznej, upowszechniany był mit Polski jako kraju i narodu katolickiego, walczącego niezłomnie o niepodległość, o zachowanie własnej tożsamości, kultury, suwerenności i biorącego na siebie wypełnianie misji religijnej nie tylko w układzie wewnętrznym, ale również wobec innych krajów europejskich.

W przeciwieństwie do zaangażowania w przykładne tropienie „komunizmu”, kolejne rządy i demokraci różnej maści zwyczajnie przymykali oko na rozwój i umacnianie się struktur skrajnie prawicowego ruchu narodowego, otwierając nawiązującego do tradycji endeckich z okresu międzywojnia. Nie zastanawiano się przy tym nad społecznymi źródłami poszerzania się akceptacji dla nastrojów nacjonalistycznych.

## 2. Siła czy słabość ruchu narodowego?

Analizy na temat umacniania się ruchu narodowego we współczesnej Polsce nasilają się na ogół w okolicy 11 listopada – Narodowego Święta Niepodległości, zajmując na chwilę uwagę czytelników popularnych tygodników opinii, aby później niewygodny dla elit problem powędrował na półkę.

Obóz Narodowo-Radykalny (ONR), zorganizowany na szczeblu regionalnym w brygady<sup>8</sup>, w czasie prowadzonych akcji wspierany jest przez środowiska kibicowskie i faszyzującą część Młodzieży Wszechpolskiej. Trudno jednak nie zauważyć, że rozproszony ruch narodowy nie ma charyzmatycznego przywódcy, który by nadał mu nowy impuls doktrynalno-polityczny. Symboliczny mit Romana Dmowskiego nie wypełni już tego zadania: kształtował się w innych warunkach społecznych, geopolitycznych i wszelkich innych.

Być może z braku silnego przywództwa wśród członków ruchu narodowego przywiązanie do członkostwa jest stosunkowo luźne. Inaczej jest z wyznawaną ideologią: niezależnie od przynależności formalnej ma ona zawsze charakter narodowo-radykalny, a w niektórych przypadkach wręcz faszyzujący. Najważniejszą wartością dla nich jest naród, rozumiany jako rodzina rodzin, który przede wszystkim musi dbać o swą suwerenność. Stąd narodowcy już wcześniej byli przeciwni wiązaniu się Polski z NATO i UE, a w połowie lat 90 „zamiast” tych sojuszy zaproponowali

---

<sup>8</sup> Ruch ONR-owski tworzą: Brygada Częstochowska, Dolnośląska, Górnośląska, Kujawsko-Pomorska, Małopolska, Mazowiecka, Opolska, Podlaska, Pomorska, Świętokrzyska, Stowarzyszenie ONR Podhale, ONR Podbeskidzia, ONR Zagłębia Dąbrowskiego.

budowę nowej formacji militarnej – obrony terytorialnej, opowiadali się za Europą Ojczyzn, rozumianą jako związek suwerennych państw.

Nadrzędną wartością łączącą narodowców jest kościół, religia i wiara katolicka. Jednakże podchodzą krytycznie do dorobku Soboru Watykańskiego II (akceptującego rozdział kościoła od państwa), a na podstawie tej krytyki podjęli próbę powrotu do międzywojennej koncepcji zbudowania w Polsce „katolickiego państwa narodu polskiego”<sup>9</sup>, czyli państwa wyznaniowego. Koncepcja ta mocno wspierana przez kościół hierarchiczny, nie przemówiła do społeczeństwa i dziś nie trudno zauważyć, że hasło to coraz rzadziej pojawia się w planach ruchu narodowego.

Aktywność polskich grup nacjonalistycznych w sferze ideologicznej polega na głoszeniu radykalnych haseł ksenofobicznych, rasistowskich, antylewicowych; wzywają one do wprowadzenia kary śmierci, obalenia „demoliberalnego” porządku, a w ślad za tym nawołują do wykluczenia ze wspólnoty narodowej tych wszystkich, którzy utożsamiają się z innym dziedzictwem historycznym, niż oficjalnie narzucane przez Kościół i prawicę. Nie lubią „lewaków”, homoseksualistów („zakaz pedałowania”), mniejszości narodowych i etnicznych, a także ludzi o innym kolorze skóry, czy odmiennej kulturze.

Sprzeciwowi wobec „obcych” dają wyraz w zaczepkach, które kończą się często pobiciem domniemyanych wrogów. Burdy uliczne i awantury wywoływane na uczelniach, nazywają „happeningami” (m.in. w Gdańsku, Warszawie, Białymstoku, lub w czasie spotkań środowiskowych, takich jak z A.

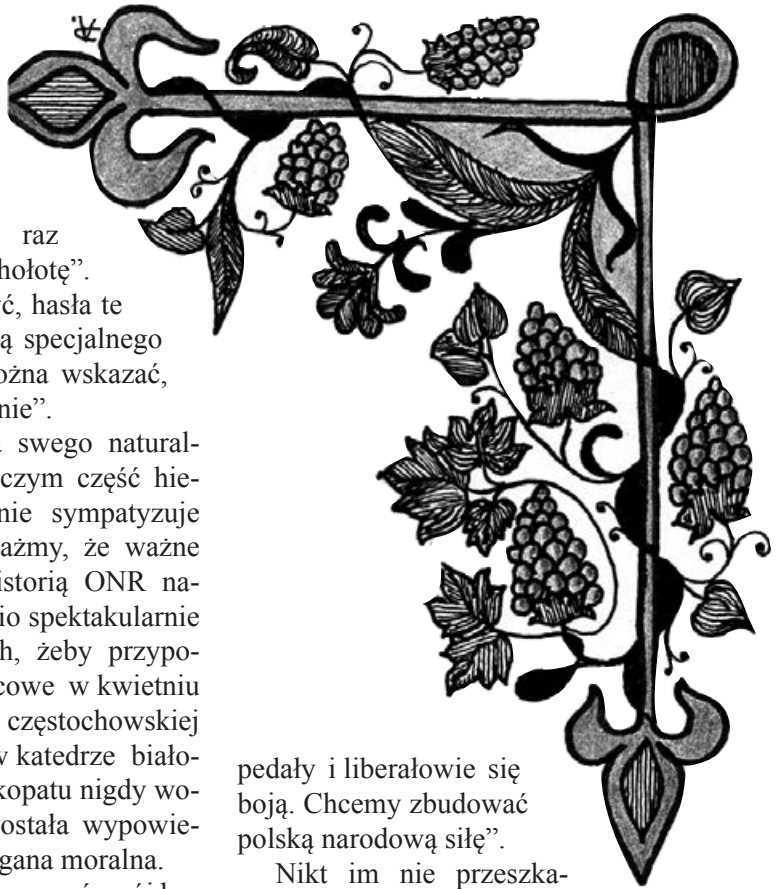
---

<sup>9</sup> Patrz: D. Waniek, *Orzeł i krucyfiks. Eseje o podziałach politycznych w Polsce*, Toruń 2011.

Michnikiem w Radomiu<sup>10</sup>). Wykrzykują hasła: „Bóg, Honor, Ojczyzna”, „Wielka Polska Katolicka”, wcześniej „SLD–KGB”, „raz sierpem, raz młotem, w czerwoną hołotę”. Jak nie trudno zauważyć, hasła te są proste, nie wymagają specjalnego myślenia i „od razu można wskazać, kto jest wrogiem, a kto nie”.

Kościół uważają za swego naturalnego sojusznika, przy czym część hierarchii kościelnej jawnie sympatyzuje z nacjonalistami. Zauważmy, że ważne rocznice związane z historią ONR nacjonałiści zwykli ostatnio spektakularnie świętować w kościołach, żeby przypomnieć obchody rocznicowe w kwietniu 2013 r. w archikatedrze częstochowskiej i w kwietniu 2016 r. w katedrze białostockiej. Ze strony episkopatu nigdy wobec narodowców nie została wypowiedziana jednoznaczna nagana moralna.

Narodowcy lubią zaznaczać swój koloryt i być widoczni w przestrzeni publicznej. Nawiązując do wizerunkowych tradycji OWP z okresu międzywojnia, coraz częściej występują w przyjętym organizacyjnym umundurowaniu, ulicami miast maszerują zwartym szykiem niosąc flagi państwowe i organizacyjne (z mieczem Chrobrego). Ich dążeniem jest wzbudzanie strachu. Wszechpolak Robert Winnicki już dawno zapowiadał: „Chcemy zbudować siłę, której lewaki,



pedały i liberałowie się boją. Chcemy zbudować polską narodową siłę”.

Nikt im nie przeszkadza w łamaniu Konstytucji, wręcz przeciwnie: policja i prokuratura są wyjątkowo łaskawe w ocenach ich działalności<sup>11</sup>. Grupy nacjonalistów przenikają się z pseudokibicami, wspólnie się szkolą w stosowaniu przemocy, a NOP i ONR organizują obozy letnie, w czasie których młodzi mężczyźni uczą się walki wręcz i strzelania z broni palnej. Nie ulega wątpliwości, że są to grupy, „dla których agresja, przemoc fizyczna, są czymś niezwykle ważnym dla budowania własnej tożsamości”. □

<sup>10</sup> Chodzi o zakłócanie wykładu A. Michnika w Wyższej Szkole Nauk Społecznych i Technicznych w Radomiu w lutym 2013 r. Kilka dni później prawicowa bojówka urządziła tzw. flashmob w czasie wykładu prof. Magdaleny Środy na Uniwersytecie Warszawskim. W lipcu 2013 r. narodowcy przerwali wykład prof. Z. Baumana we Wrocławiu. Sprawcy tej awantury rok później zostali przez Sąd Apelacyjny we Wrocławiu ukarani grzywną od 500 do 2000 zł.

<sup>11</sup> Znane jest stanowisko prokuratora Dawida Roszkowskiego z Białegostoku, który w czerwcu 2013 r. nie dostrzegł w swastyce propagowania faszyzmu, ale symbol „przynoszący szczęście”.

## Nowe formy terroryzmu\* cz. I

Jest zrozumiałe, że rozwój cywilizacyjny i postęp technologiczny ma wpływ na kształtowanie się form dzisiejszego terroryzmu. Trafna jest w tym kontekście uwaga, że terroryzm jest dzisiaj starym winem w wielu nowych opakowaniach, ponieważ zasadnicze cele terroru nie uległy zmianie.

O ewentualności zamachów terrorystycznych z użyciem broni masowego rażenia (nuklearnej, chemicznej i biologicznej), o cyberterroryzmie czającym się gdzieś „za progiem” lub terroryzmie motywowanym religijnie, napisano już bardzo wiele.

W cieniu tych zasadniczych zagrożeń istnieją także inne, pochodne. Jest wśród nich także **terroryzm radiologiczny**.

Detonacja ładunku nuklearnego jest nadal najmniej prawdopodobną formą ataku terrorystycznego ze wszystkich, w których może być użyta broń masowego rażenia. Jednak wyzwania technologiczne nie zabezpieczają przed mniej dramatycznym, użyciem materiałów radiologicznych, które – choć nie zabijają ani nie zranią wielkiej liczby osób – mogą pociągnąć za sobą ogromne koszty finansowe i psychologiczne.

Departament Energii USA (U.S. Department of Energy) posiada bazę danych dotyczących – opisanych w prasie – prób przemycania materiałów nuklearnych, w tym zarówno materiałów rozszczepialnych jak i izotopów nierozszczepialnych. Większość kradzieży materiałów nuklearnych miała miejsce na terenie byłego Związku Radzieckiego, a większość z kradzieży dotyczyła

radioizotopów nierozszczepialnych. Jednak inne kraje też nie są odporne na kradzieże i straty. Generalne Biuro Rachunkowe USA (U.S. General Accounting Office) określa całkowitą ilość rozszczepialnych materiałów nuklearnych skradzionych pomiędzy 1944 a 1977 rokiem na tysiące kilogramów. Wielkości te są prawie na pewno wynikiem błędów szacunkowych, ale wskazują też na daleko posuniętą bez troskę.

Terroryści, którzy uzyskaliby ewentualnie materiały nuklearne, staną przed technicznymi trudnościami przekształcenia ich w RDD (materiały radiologiczne). W eksperymentach przeprowadzanych w latach 40 i 50 amerykańscy wojskowi stwierdzili, że rozprzestrzenianie w powietrzu czynników radiologicznych emitujących promieniowanie gamma następuje z wieloma trudnościami spowodowanymi wytwarzaniem przez materiał ciepła i dyssypacją. Emitery promieni gamma wymagają masywnych osłon, a niektóre muszą być zastosowane natychmiast z powodu rozpadu radioaktywnego. Wojsko rozpatrywało rozprzestrzenianie tych substancji przez ostrzał artylerii i moździerzy, czyli drogą powietrzną, oraz przez „rozszczepianie bomb powietrznych lub pocisków

---

\* Artykuł oparty na książce Autora pt. „Terroryzm – analizy i fakty”, Kraków 2002

balistycznych”. Efekty są w wysokim stopniu uzależnione od warunków pogodowych i terenowych. Miasta są kosztownym celem. Stafford Warren stwierdził, że „coś zbliżonego do 10 razy większej koncentracji” jest wymagane na tereny zabudowane, ponieważ budynki absorbują dużą część promieniowania.

Rząd USA stwierdził po latach badań, że RDD nie są przydatne do celów militarnych. Także Irak Saddama Husseina najwidoczniej uznał je za niepraktyczne. Jednak broń radiologiczna może być przydatna terrorystom, zwłaszcza jeśli są oni zainteresowani bardziej wywołaniem dużych strat finansowych i paniki, niż zabijaniem. Użycie prymitywnego narzędzia do rozprzestrzeniania lub zbyt małej ilości materiału radioaktywnego zdolnego wywołać poważne zagrożenie zdrowia, może okazać się nieskuteczne, za to strach przez promieniowaniem może wywołać panikę. Kiedy USA rozważały możliwość produkcji RDD w latach 40 i 50, demoralizacja personelu była rozważana jako jedno ze „szczególnych zastosowań” radiologicznych działań wojennych. Koszty, które musiałby ponieść rząd lub zaatakowany rejon byłyby ogromne. To samo mogli by osiągnąć terroryści.

Łatwym sposobem rozprzestrzeniania radioizotopów (albo czynników biologicznych czy chemicznych) jest użycie systemu wentylacyjnego budynku. Terroryści mogliby także użyć rozpylaczy lub dmuchaw po to, by rozpylić drobny proszek, lub też wysypać go z dachu wysokiego budynku. Amerykańscy wojskowi rozważali także umieszczenie materiału radioaktywnego w zasobach wody wroga, co odniosłoby skutek w operacjach na małą skalę, ale nie byłoby zbyt skuteczne w przypadku dużych rezerwuarów.

Atrakcyjnym celem dla terrorystów mogą być elektrownie jądrowe. Ludzie żyjący w pobliżu takich elektrowni są bardzo wyczuleni na zagrożenie dla zdrowia wynikające z promieniowania. Procedury nadzoru opracowane z myślą o awariach reaktorów są bardziej rygorystyczne niż wymagają tego względy bezpieczeństwa publicznego, ale za małe, żeby uspokoić lokalne społeczności. Na przykład, jeśli poziom promieniowania przekroczyłby pięciokrotnie poziom promieniowania tła wokół Rocky Flats w stanie Kolorado, władze miałyby obowiązek ewakuować miasto, mimo że taki poziom promieniowania nie jest przez naukowców uważany za szkodliwy. Terrorysta, który chciałby spowodować panikę lub wywołać niepokoje, (zamiast zabijać) mógłby wykorzystać właśnie ostre procedury: stosunkowo mała ilość materiału radioaktywnego rozprzestrzeniona w pobliżu Rocky Flats wystarczyłaby, aby zmusić miasto do ewakuacji – co pociągnęłoby za sobą znaczące skutki ekonomiczne i psychologiczne dla mieszkańców.

Reaktory w elektrowniach są również podatne na sabotaż. Zużyte pręty paliwowe zawierają cez-137 a także inne izotopy emitujące promieniowanie gamma. Sabotaż wymagałby prawdopodobnie współudziału pracowników elektrowni, ale terroryści mogliby także uszkodzić reaktor albo zbiornik z odpadami radioaktywnymi przez umieszczenie materiałów wybuchowych poza ogrodzeniem, lub zaatakowanie elektrowni z samolotu lub z drona. Eksplozja byłaby znacznie bardziej niebezpieczna niż pożar. Terroryści antynuklearni w Niemczech próbowali wielokrotnie sabotować transport zużytych prętów paliwowych, choć nie ma dowodów na to, że podjęli próbę kradzieży.

Podobnie dzieje się ze zjawiskiem określanym mianem „**ekoterroryzm**”. Nie chodzi tu wcale o demonstracje biernym oporem przeciw karczowaniu lasów (Amazonia) czy masowemu wysiedlaniu w związku z budową tam na rzekach (Chiny).

Ekoterroryzm określane bywa również mianem terroryzmu środowiskowego, lub ekologicznego, a charakteryzuje się tym, że głównym środkiem zastraszania jest powodowanie niekorzystnych zmian w środowisku naturalnym. Współczesne społeczeństwo ma świadomość, że człowiek jest nieodłączną częścią przyrody i że szkodząc jej, szkodzi również sobie. Ta zasadnicza zmiana w myśleniu o środowisku naturalnym nastąpiła dopiero w ostatnich 30 latach, a jej skutkiem jest tzw. myślenie ekologiczne, które oddziałuje na wszystkie dziedziny życia. Czynnikiem, który najbardziej wpływa na życie ludzkie są obecnie zanieczyszczenia, definiowane przez ekologów jako niekorzystne zmiany fizyczne, chemiczne czy biologiczne powietrza, wody, które oddziałują na warunki życia człowieka i jego cywilizację. Zdarzenia powodujące zanieczyszczenia są zwykle przypadkowe, jednak zdarza się, że są one wynikiem ataku terrorystycznego.

Głównymi celami zamachów stały się instalacje związane z przemysłem naftowym. Niszczenie rurociągów, szybów naftowych, rafinerii oraz tankowców powoduje wycieki ropy naftowej i zanieczyszczenie gleby, wody, a pożary powodują zatrucie powietrza. Ataki mają na celu zadanie strat ekonomicznych przeciwnikowi, zniszczenie urządzeń, odcięcie od nośników energii. Ta forma terroryzmu często jest wykorzystywana przez państwa uprawiające tzw. państwowojny terroryzmu ekologiczny, np. podczas



wojny o Kuwejt Irak spuścił ze zbiorników tysiące ton ropy naftowej oraz podpalił setki szybów naftowych, aby zastraszyć społeczność międzynarodową groźbą zniszczeń ekologicznych, zmusić ją do odstąpienia od działań zbrojnych po swoim ataku. W ten sam sposób działali terroryści tzw. Państwa Islamskiego ponoszący porażki na polu walki. Podobnie w 1982 roku Izrael zbombardował rurociągi naftowe w Libanie. Podczas wojny Irak-Iran walczące strony zniszczyły kilka rafinerii, instalacji naftowych i zatopiły kilkanaście tankowców. Takie ataki nie są jednak tylko domeną państw, również nielegalne organizacje terrorystyczne dokonywały podobnych akcji.



Na przykład w 1981 roku IRA zatopiła brytyjski statek powodując zanieczyszczenie wybrzeża miałem węglowym, w 1985 roku terroryści z Cellules Communistes Combattantes wysadzili jednocześnie w sześciu miejscach rurociąg paliwowy NATO, w 1987 roku ETA dokonała zamachu bombowego na zakłady petrochemiczne w Hiszpanii. Jednak nie tylko instalacje naftowe stają się celami ataków, również instalacje infrastruktury komunalnej dostarczające gaz i wodę, są potencjalnymi celami ataków.

Z drugiej strony terrorystami zostają nieraz skrajni ekolodzy, którzy za pomocą zamachów chcą zwrócić uwagę świata na zagrożenie albo zniszczyć urządzenie zagrażające środowisku naturalnemu. W tym przypadku ekoterroryzm zwany też bywa (z francuskiego) ekotażem, polega na małym sabotażu – zwłaszcza na potajemnym niszczeniu tego, co zagraża środowisku; maszyn i urządzeń

budowlanych, rozmaitych instalacji. Najpopularniejszym sposobem ekotażu jest tzw. spajkowanie, czyli wbijanie gwoździ w drzewa tak, by nie można ich było ścinać przy pomocy piły mechanicznej. Inny przykład: w 1982 roku grupa skrajnych ekologów amerykańskich dokonała odpalenia czterech rakiet w kierunku siłowni nuklearnej w Crey-Malville, pragnąc w ten sposób zwrócić uwagę na konieczność lepszego zabezpieczenia takich obiektów. W 1980 roku powstała w Stanach Zjednoczonych grupa wojujących ekologów o nazwie „Earth First”, a jej celem była ochrona amerykańskiej przyrody przed niszczącym wpływem współczesnego społeczeństwa. Początkowo pokojowe manifestacje przerodziły się z czasem w sabotaż przemysłowy, który polegał na podpaleniach, niszczeniu urzędów do ścinania drzew i rozrzucaniu metalowych kolców na wiejskie drogi, aby uniemożliwić przejazd maszyn ścinających drzewa. Inną częścią kampanii przeciwko wycinaniu lasów było wbijanie gwoździ w drzewa, aby w ten sposób uczynić je nieużytecznymi dla tartaków. Grupa ta również zwracała uwagę na zagrożenie środowiska spowodowane przemysłem wykorzystującym energię nuklearną (przerywali przewody energii oraz powodowali wewnętrzne blokady). Członkowie grupy byli również oskarżeni o sabotaż wyciągów nardiarskich i fabryk uzbrojenia.

W ostatnich 20 latach głośno także o tzw. **terroryzmie jednej sprawy** (single issue terrorism). Prowadzą go jednostki lub grupy, które mają na celu realizację jednego bardzo konkretnego postulatu, np. ochrony praw zwierząt. Wiele z tych grup rozpoczyna działalność jako legalne ugrupowanie, działające zgodnie z prawem. Dopiero w momencie gdy zaczynają uważać, że sprawy o które walczą stają

się zbyt pilne, aby czekać na ich rozpatrzenie w powolnym biurokratycznym procesie tradycyjnych działań – sięgają po przemoc jako środek rzekomo przydatny w ich załatwieniu. Głównymi celami działań może być „publicity” (rozgłos) lub zmiany w prawie. Członkowie takich ugrupowań wierzą, że akty przemocy stosowane przez nich są usprawiedliwione ponieważ mają oni moralne racje (często poparcie Boga) do ich zastosowania. Grupy te są na ogół małe, a ich infiltracja jest trudna, niemal niemożliwa. Zagrożenie z ich strony – porównując z klasycznymi ugrupowaniami terrorystycznymi – wydaje się jednak niewielkie.

Ograniczył też znacząco swoją aktywność **terroryzm antyaborcyjny**. Ten rodzaj terroryzmu był najbardziej rozpowszechniony w Stanach Zjednoczonych. Powstanie antyaborcyjnych grup w USA było wynikiem niezdolności do legalnego obalenia orzeczenia Sądu Najwyższego USA z 1973 roku stanowiącego, że prawo zabraniające przerywania ciąży jest niezgodnym z konstytucją naruszeniem praw obywatelskich. Jest to też wynikiem dużej liczby aborcji, wynoszącej około 1,6 milionów rocznie, przeprowadzanych w USA. Przeciwnicy aborcji stworzyli kilka grup jak: Defensive Action, Operation Rescue czy the American Family Association, Pro Life, Armia Boga i inne. Armia Boga przykładowo nie jest jednolitą organizacją, a raczej luźnym związkiem ekstremistów religijnych, organizujących ataki na kliniki aborcyjne oraz na kluby homoseksualistów. Nazwa Armia Boga po raz pierwszy pojawiła się w związku ze spaleniem dwóch klinik aborcyjnych na Florydzie w 1982 roku. Używanie tej nazwy zaleca, opublikowany nielegalnie, poradnik stosowania przemocy przeciwko klinikom aborcyjnym; opisuje on także

sposoby konstruowania bomb, używania zapalników czasowych, blokowania alarmów elektronicznych itd.

Początkowo działalność tych organizacji polegała na organizowaniu demonstracji przed klinikami przeprowadzającymi zabiegi przerywania ciąży, tworzeniu blokad przed nimi, które uniemożliwiały wejście oraz wyjście z budynków. Po pewnym czasie niektórzy członkowie tych grup zaczęli stosować przemoc w postaci podkładania bomb pod kliniki, podpaleń oraz zastraszania i morderstw zatrudnionego tam personelu medycznego. Na przykład w ciągu 1992 i 1993 roku lekarze dokonujący aborcji otrzymali 86 listów groźących im śmiercią, zaatakowano też lub podpalono ponad 100 klinik. Ekstremiści podpalali też domy lekarzy wykonujących aborcję. Morderstwa zaczęły się w 1993 roku, kiedy to został zastrzelony przez członka organizacji Operation Rescue na Florydzie (w Pensacola) doktor David Gunn. W tym samym roku również w wielu klinikach lekarze i pielęgniarki zostali zatruci wyziewami gazu, a ponadto wysadzono w powietrze budynek Corpus Christi w Teksasie. Przewodniczący the Defensive Actions, Paul Hill, był obwiniany o morderstwo dwóch osób: dr. Johna Brittona i Jamesa Barratta, którzy zostali zastrzeleni przed kliniką na Florydzie. W grudniu 1994 roku John Salvi zastrzelił dwie osoby przed klinikami w Massachusetts i w Virginii. W ten sposób ekstremiści z ruchów antyaborcyjnych sterroryzowali wiele środowisk medycznych, przez co część lekarzy, z obawy o własne życie, nie wykonuje prawnie dozwolonych zabiegów. Ci, którzy wciąż wykonują zabiegi, żyją w obawie o życie swoje i swoich bliskich, noszą kuloodporne kamizelki, wynajmują ochronę. Zagrożenia te w ostatnich latach jednak osłabły. □

## **Narkotyki ratują życie**

(od redakcji)

Rozpoczynamy publikowanie wybranych wspomnień bądź urywków opowieści profesora Kazimierza Pasenkiewicza, urodzonego w Kijowie w 1897 roku, za młodu uczestnika I wojny światowej (w armii carskiej, ranny i odznaczony), świadka Rewolucji Październikowej, potem uczestnika wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku (jako legionista, ranny, stracił nogę), następnie Powstania Warszawskiego (w sztabie Armii Ludowej). Tuż po zakończeniu II wojny światowej pełnił On obowiązki wojewody pomorskiego, a następnie krakowskiego (1946-1951). Przed II wojną światową studiował na UW, gdzie doktoryzował się pod kierunkiem prof. T. Kotarbińskiego (1933); po II wojnie założył na UJ katedrę logiki, obronił rozprawę habilitacyjną (1961), był promotorem kilku rozpraw doktorskich oraz recenzował prace habilitacyjne. Zmarł w roku 1995 w wieku 98 lat.

Rodzinie Autora dziękujemy za zgodę na publikowanie Jego wspomnień. Wspomnienia Profesora rzucą bowiem wiele światła na stosunki panujące na Ukrainie w czasach rewolucji i późniejszych, na wydarzenia oglądane okiem młodego Polaka, który podczas Rewolucji Październikowej miał ok. 20 lat i służył w carskim wojsku, potem był w Legionach, następnie w Armii Ludowej oraz czasowo w strukturach władzy „ludowej”. Na kilka lat przed śmiercią przekazał kopię swoich wspomnień prof. Krzysztofowi Woźniakowskiemu, aby zostały opublikowane.

Czas rewolucji jest spowolniony. Wiele klęsk i katastrof zmieści w sobie jeden rewolucyjny miesiąc. W ciągu kilku zimowych tygodni 1917/18 r. władza w Kijowie (na Ukrainie) przechodziła od Rządu Tymczasowego do Centralnej Rady Ukraińskiej, potem kolejno przejmowali ją bolszewicy, Niemcy i hetman Skoropadski. Zmieniała się więc pięć razy [cztery – red.], nie licząc powstania bolszewików w styczniu 1918 r.

i parodniowego opanowania miasta przez pułki Bogusławski i Taraszczański, działające na własną rękę. Wtedy nie było w mieście żadnej władzy.

Podobnie często zmieniały się władze na przełomie 1918-19 roku. Przejmowali rządy kolejno po Niemcach – oficerowie, następnie Dyrektoriat Ukraiński; 5 lutego Kijów zdobyły oddziały Czerwonej Armii [w oryg. małymi literami – red.], aby po paru miesiącach oddać go Denikinowi.

Każdej zmianie towarzyszyły masowe mordy przeciwników. Mordy te nosiły „żartobliwe” nazwy. Rozstrzeliwanie Czerwonych [oryg.: czerwonych] przez Petlurowców nazywano *pasmatriet' na Dniepr*, gdyż ofiary wyprowadzano masami na urwisko naddnieprowskie. Rozstrzeliwanie oficerów przez Czerwonych nazywano *atprawit' w sztab Duchonina*. Duchonin w ostatnim roku wojny był głównodowodzącym [Armii Rosyjskiej, red.]; zastrzelono go na stopniach wagonu sztabowego. Rozstrzeliwanie i zabijanie chłopów przez Czerwonych nazywano *dawat' ziemi i wolu*, gdyż hasłem eserów [eserowców], odziedziczonym po narodnikach, było: *Ziemia i Wola* (nazywano ich *ziemlowolcami*).

Były to przejawy wisielczego humoru. Dowcipów i wyśmiewania się władze obawiały się i nie znosiły. Były dla nich niebezpieczne. Takie określenie komunizmu jak *kamu na, kamu ni* zrobiło dla władzy Czerwonych więcej złego niż niejedna przegrana bitwa. Rewolucja to rzecz poważna, ci co kpili lub sztydziłi z niej byli zabijani, zwłaszcza aktorzy estradowi.

Swoistym rejestrem wydarzeń czasów rewolucji były *czastuszki*. Przy Niemcach śpiewano: *jabloczko, kuda katiszisia, Niemcam w lapy papadniosz – nie warotiszisia*.

Kiedy w lutym 1918 r. do Kijowa wkraczały oddziały Armii Czerwonej, śpiewano: *Diriektoria, diriektoria, gdzie twaja tieritoria? W wagonie sidit Diriektoria, pod wagonam jeja tieritoria*. W 1918 na Ukrainie śpiewano też: *Ukrainuszka chliebarodnaja, Niemcam chleb addata, a sama galodnaja*. Po opanowaniu Kijowa przez bolszewików śpiewano: *Kammunist maladoj zwiezda krasnaja, na Ukrainie kammunizm da wieszcz apassnaja*. Po wkroczeniu zaś Białych

do Kijowa: *Aficer frantawoj pagony biehyje, udiraj paskariej, paka cehyje*. Nie wierzono wtedy w trwałość żadnej władzy. Czastuszki wiernie przechowywały nastroje i przeżycia tych lat.

Ogólną zasadą wszystkich rewolucji było oszczędzanie zasobów materialnych kraju, a także dobytku; fabryk, mostów, domów, miast i instalacji nie niszczone, zmieniano tylko tytuły własności. Właścicielem miejskich nieruchomości oraz gruntów miejskich i wiejskich stawało się państwo, lub uspołeczniano je.

Z ruchomościami bywało różnie. We wczesnym okresie rewolucjoniści byli bezwzględnie uczciwi. Za przywłaszczenie w czasie czynności urzędowych, np. rewizji, nawet mało wartościowych przedmiotów, groziła kara śmierci. Oczywiście nie trwało to długo, gdyż do zwycięskiej rewolucji dołączyły się elementy przestępcze.

Los cerkwi, pałaców i zabytków też był różny, zależał od władzy miejscowej. Żałosny był los zabytków sakralnych w Kijowie, nie uległy one zniszczeniu w Leningradzie i Moskwie.

Najłatwiejszą domeną działalności rewolucyjnej było ustawodawstwo. Wydawane dekrety o wywłaszczeniu i nacjonalizacji nie sprawiały większych trudności – były realizowane z wielką energią.

Najtrudniejszym obiektem działalności władz był, jak zawsze, człowiek. Natury jego nie zmieni się w ciągu kilku lat. W różnych warunkach działają te same potrzeby, instynkty, dążenia. Akceptowanie ideologii wywłaszczenia w warunkach wyzysku i ogólnej nierówności było w masach powszechne. Najgłębszą potrzebą człowieka jest sprawiedliwość. Ale nie wystarcza zgoda na socjalizm, do jego urzeczywistnienia niezbędne są określone postawy i działania ludzi. I to

jest powodem wielu niepowodzeń rewolucji; człowiek zmieniał się bardzo powoli. Nie liczyli się z tym teoretycy rewolucji. Osądzali ludzi według siebie lub założeń teorii – i mylili się. Przyszła czas, gdy konkurencję między kapitalistami trzeba było zastąpić konkurencją między państwami.

Pomimo toczących się walk i ich bezwzględności niektóre struktury społeczne trwały nadal. Zawsze istniał i odradzał się rynek – sprzedaż z ręki do ręki. W ciężkich warunkach, z przerwami działał transport, nie stanęły tramwaje; działały ofiarnie służby zdrowia, szpitale, apteki i lekarze.

Restauracje i stołówki pierwsze padły ofiarą rewolucji. Sporadycznie działały teatry estradowe i ukazywała się prasa. Szkoły wykazały małą odporność na warunki rewolucji, natomiast czytelnie i biblioteki bohatersko nie przerywały działalności, nawet w czasie ostrzału artyleryjskiego miasta. Działały bez dłuższych przerw wodociągi i elektrownie, ale ulice były zupełnie ciemne.

Natomiast warunki higieny osiągnęły dno. Brudne, niesprzątane ulice i gmachy publiczne. Potworne zawszenie, tyfus płamisty i hiszpanka. Chorzy wszędzie, na korytarzach szpitali, na salach dworcowych, czasem na ulicy, pod płotami. Rozkwit cmentarzy: nowe tereny i olbrzymie pokolenie nowych jasnych krzyżów.

W czasie walk miasto było ostrzelane przez artylerię. Były to przeważnie działa polowe, a pocisków oszczędzano. Szkody miasta [z tego powodu – dopisek red.] były mało zauważalne.

Wygląd Warszawy w czasie powstania, jej mieszkańcy i warunki życia przypominały mi Kijów tamtych czasów; aczkolwiek rozmiary, intensywność i skutki tych walk były nieporównywalne. Kijów to przewlekła, chroniczna wojna.

Zimy w latach rewolucji w Kijowie były trudne. Duże mrozy, zupełna dezorganizacja życia gospodarczego, nieogrzewane mieszkania i ciągłe walki w mieście lub o miasto sparaliżowały go. Do tego rabunki i rozboje.

Najłatwiej było zapobiec rozbojom. Utworzono we wszystkich zagrożonych rozbojami dzielnicach samoobronę. Mężczyźni pełnili nocną wartę; w dzień byli gotowi do walki. Karabinów i amunicji nie brakło. Byliśmy uzbrojeni w karabinki japońskie, prosto ze skrzyń – nowiutki. Zaryglowane bramy przekształcały posesje w punkty obronne. Nawet duże bandy nie ośmielały się ich atakować. Ulice miasta nocą były zupełnie ciemne i puste.

W pierwszym okresie rewolucji zaopatrzone w rewolwery towarzyszyłem bratu (wtedy jeszcze pracującemu ochotniczo w milicji) w patrolowaniu ulic. Niezwykłe to były przeżycia, zupełnie inne niż między okopami na froncie, gdzie czasami, jako oficer zwiadu, spędzałem noce. Przerazone, zatajone życie w ponurych, ledwie widocznych na tle czarnego nieba domach.

Były to lata agonii Kijowa. Miasto wróciło do życia, ale to nie był już dawny Kijów. Inni ludzie, inne obyczaje i inne miasto.



W latach wojny Kijów posiadał olbrzymie magazyny: składy broni, zapasy żywności, medykamentów, odzieży żołnierskiej. Nie przetrwały one okupacji niemieckiej i walk w 1918 roku. Olbrzymie składy amunicji wybuchły latem 1918 r., niszcząc dzielnicę miasta – Zwierzyniec. W lepszej sytuacji były składy medykamentów; po Pokoju Brzeskim



zapotrzebowanie na nie zmniejszyło się. Właśnie składy Jurotatu (południoworuskiego towarzystwa handlu farmaceutykami, red.) były źródłem naszej działalności; zaopatrywaliśmy w medykamenty apteki na prowincji, ryzykując zarówno życiem jak i konfiskatą towarów.

Ładunek w sierpniu 1919 r. był rewelacyjny. Jurotat likwidował się i proponował sprzedaż medykamentów powyżej zamówień. Korzystając z sytuacji zakupiliśmy prawie 500 kg najbardziej poszukiwanych lekarstw i medykamentów; m.in. gazy oraz 3 kg kokainy w słojach i 3 kg morfiny. Ten ostatni towar budził w nas pewne wątpliwości, nie znaliśmy jego wartości. W czasie rewolucji wart był więcej niż życie ludzkie.

Początkowo transport towaru odbywał się pomyślnie. Denikinowcy nie robili nam żadnych trudności i szczęśliwie zładowaliśmy wszystko w Popielni; za parę godzin będziemy w Chodorkowie. Okazało się jednak, że Chodorków został zajęty przez jakieś oddziały wojskowe. Postanowiliśmy zawieźć cały ładunek do Gnilec – majątku wujaszka Oktusia,

odległego 30 km od Popielni i 10 km na wschód od Chodorkowa.

W latach 1917-19 obywatele ziemscy na Ukrainie opuścili swoje majątki, wyjeżdżając do Polski lub do większych miast. Opóźnienie wyjazdu często kończyło się śmiercią właściciela lub administratora. Ale w Gnilecu było inaczej. Wujaszek Oktuś odziedziczył majątek po ojcu Józefie Dobroczyńskim. Ale zarządzał majątkiem mój dziad, Witalis. Utrzymywał on dobre stosunki z chłopami. Tradycje te przejął po swojemu wujaszek Oktuś. Był on wprawdzie kulawy, ale bardzo lubił kobiety i konie. Utrzymywał, ponad możliwości majątku, małą stajnię wyścigową i miał bardzo dużo na wsi kochanek – młodych dziewczyn. Każdą z nich wyposażał po wyjściu za mąż w parę hektarów ziemi i 2 krowy. Chłopom to odpowiadało, lubili go. Po rewolucji zostawili mu sadybę, ogród, jezioro i 15 ha ziemi. Gospodarstwo to prowadziła ostatnia jego kochanka, Motra. Tam też w swoim czasie mój brat, Wojtek, został wtajemniczony w sztukę „kochania”, a mistrzynią jego była młoda, hoża Ukrainka.

W czasie rewolucji chłopci chronili wujaszka Oktusia; przychodzili na pogawędki polityczne i pomagali w polu. Tak było do czasu, aż wrócił do wsi jeden z żołnierzy frontowych, członek jakiegoś komitetu. Ten szantażował wujaszka, wyciągając wszystko co miał ukryte u sąsiadów chłopów. Sytuacja pewnego zimowego wieczora stała się beznadziejna. Wtedy Motra zaszła od tyłu siedzącego przy stole chłopca i siekierą rozwaliła mu głowę. Ciało zagrzebali w stercie gnoju. Nikt się o niego nie upominał.

Właśnie w dworku gnileckim zładowaliśmy skrzynie i czekaliśmy, aż oddziały wojskowe opuszczą Chodorków. Żył się nam bardzo dobrze; mleko,

chleb, jajka otrzymywaliśmy od chłopów w zamian za gazę, mydła, proszki. Trochę leczylimy chłopów, prowadziliśmy z nimi dyskusje. Starsi pamiętali jeszcze naszego dziada.

Jeden z tych spacerów wiejskich dobrze pamiętam. Zaszedłem po mleko do Warii, dawnej pięknej gospodyni Wujaszka. Ta wyprawiła swego pięcioletniego synka z chaty i postanowiła mnie uwieść. Miałem wtedy dwudziesty pierwszy rok, ale nie rozumiałem, o co jej chodzi. Zostałem uświadomiony przez kobiety dobre 6 lat później; do dziś bardzo żałuję ówczesnego gapiostwa.

Pewnego poranka przyszła Motra do stodoły, gdzie spaliśmy, i powiedziała: *Panyczy wstawajte, Kozaki priichały*. No więc Denikinowcy; źle, ale nie najgorzej. Idąc do domu spotkaliśmy dwu *kamandirów* niewyglądających na Denikinowców. Zażądali dokumentów. Zaszugerowani słowami Motry popełniliśmy niewybaczalny błąd, okazaliśmy prawdziwe studenckie dokumenty. Zostaliśmy natychmiast aresztowani. Umieścili nas w pokoiku przy kuchni pod strażą uzbrojonego starszego już żołnierza; ten oparł karabin o ścianę i rozsiadł się wygodnie.

Rozpoczęła się rewizja domu. Znalezione medykamenty, sprawa stała się dla nich jasna: jest to punkt sanitarny dla band. Nasz strażnik dobroduszenie oświadczył: *Nu tiepier' was razstrielajut, abiazatielna* – miał rację. Karabin jego stał pod ścianą w zasięgu mojej ręki, mrugnąłem do brata, odsygnalizował, że nie. Myślałem, że lepiej zginąć w walce. W tej chwili rozległy się krzyki triumfu: znaleźli kokainę i morfinę. Żołnierz zaniepokoił się i wybiegł w kierunku drzwi frontowych, za róg domu. Przed nami drzwi kuchenne, a za nimi ścieżka do jeziora poza polem widzenia

żołnierzy na podwórku. Rzuciłem się do drzwi i na trzciny. Po sekundzie Wojtek za mną. Przebiegliśmy przez trzciny, potem przez park Świerczewskich po drugiej stronie jeziora.

Park przebiegliśmy sprintem. Teraz przed nami 5 kilometrów rżyska, a za nim już las chodorkowski. Bez namysłu, boso przebiegliśmy przez rżyska; śmierć była za plecami. Pole było terenem otwartym, a oddział, który nas zatrzymał, był sotnią *Kawaleryjskawa Zadnieprowskawa Pałka*, odesskiej grupy. Konie po rżysku biegają szybciej niż bosi człowiek. Był to bieg rekordowy. Inteligencją górowali nad przeciwnikiem. Uporczywie szukano nas we wsi; nie przypuszczając, że będziemy biec otwartym terenem.

Dobiegliśmy do lasu. Sytuacja nadal była zła. Wejść do miasta w koszuli i spodniach, boso i z gołą głową, to zwrócić na siebie uwagę każdego *kamandira*. Na szczęście spotkaliśmy w lesie dwu chłopów ścinających drzewa. Oświadczyliśmy, że gonią nas czerwoni, zabraliśmy nie pytając o zgodę ich kapelusze, laski i jakąś dziurawą torbę. Nie protestowali, byli zaskoczeni. Dalej szliśmy młodniakiem, aż do szosy i ostrożnie wyjrzeliliśmy. Na szosie nieskończone kolumny wojska: wozy, konie, wielbłądy, osły, taczanki, piechota – wszystko w chmurach kurzu. Czekaliśmy parę godzin leżąc w młodniaku – sytuacja nie ulegała zmianie. Jasne było, że to odessa grupa; zajmie szosę na długo. Trzeba było zdecydować. Doczekaliśmy się większej przerwy między oddziałami, przeszliśmy przez szosę i weszliśmy do rzadkiego dębowego lasu bez poszycia; ciągnął się on wzdłuż miasteczka. Zaledwie przeszliśmy kilkadziesiąt metrów, usłyszeliśmy tupot konia za nami i okrzyk *stoj!* Był to jakiś młody komisarz o inteligentnej twarzy. Zapytał:

wy kto takije? Wojtek bez namysłu odpowiedział: „*my lesazagotowszczyki iz miestnoj elektrastancji*. Wszystko świetnie zgadzało się. Komisarz czy *kamandir* powiedział *iditie*; nie zwlekaliśmy.

Po godzinie byliśmy już w Chodorkowie w aptecę u cioci Wandzi i wujaszka Zenona. W miasteczku pełno wojska. Dopiero teraz zawładnął nami strach. Pod jego wpływem nie oceniliśmy właściwie sytuacji; byliśmy pewni, że będą nas szukać w Chodorkowie. Schowaliśmy się. Po paru godzinach oprzytomnieliśmy i wyszliśmy z ukrycia. Czuliśmy się upokorzeni, poza tym straciliśmy cały nasz majątek.

Na drugi dzień rano wyruszyliśmy piechotą do Kijowa przez Kożankę. Byliśmy teraz bez bagażu – 50 kilometrów do Kożanki to osiem godzin marszu. Wieczorem już o zmroku byliśmy w Kożance u cioci Loni Niewiarowiczowej, żony kierownika fabrycznego szpitala – Witolda Niewiarowicza.

Teren między Chodorkowem i Kożanką był ziemią niczyją. Pojawiły się na niej oddziały wojskowe Machnowców, bolszewików, Denikinowców; od zachodu czasem docierały partyzanckie oddziały petlurowskie.

Okazało się, że od dwu dni na terenie cukrowni kożanieckiej rozgościł się partyzancki oddział denikinowski *Wolczan-skij Kawalerijskij Otriad*. Personel polski fabryki bardzo się tym przejął; byli pewni, że to zmiana władzy na Ukrainie i że koniec ich udręki. Ruchliwy jak zwykle wujaszek Witold, licząc że nasze informacje mogą się przydać „wołczancom”, zaprowadził nas, nie zważając na nasze zmęczenie i niechęć, do fabrycznego klubu, gdzie rezydował sztab. Dowiedziawszy się, że jestem byłym oficerem

frontowym, potraktowali mnie wrogo twierdząc, że jestem bolszewickim szpiegiem, i że należy mnie rozstrzelać. Rozumiałem tych ludzi, walczyli rozpaczliwie o przegraną sprawę i każdy oficer, który nie był w ich szeregach, budził ich pogardę i nienawiść. Uwzględnili wreszcie, że byłem nie Rosjaninem lecz Polakiem, zwolnili mnie; zwłaszcza że wstawił się dyrektor, który przyjmował ich z wielką gościnnością.

Rano pożegnaliśmy wujostwo i wyruszyliśmy do odległej o 1½ km stacji, gdzie – jak nam powiedziano – stoi towarowy pociąg z drzewem, gotowy do wyruszenia do Fastowa. Pociąg rzeczywiście stał, ale wagony towarowe były załadowane ciętymi pniakami tak, że do żadnego nie dało się wcisnąć. Szukając sposobu ulokowania się usłyszeliśmy zaraz za torami wybuch pocisku. Okazało się, że nadjechał pancerny pociąg machnowski i rozpoczął ostrzeliwanie stacji, a raczej ruin stacyjnych. Personel skrył się, a pociąg powoli ruszył. Trzeba było wskakiwać do wagonu i – stojąc w otwartych drzwiach – trzymać się za ułożone pniaki. Ryzykowna jazda.

Na przejeździe zobaczyliśmy galopujących Wołczanców. Nie wiedzieliśmy, co zamierzali. Mówiono, że do wykołajenia pociągów podkładano na szyny podkowy końskie. Sądzę, że nie zamierzali atakować pociągu.

Dojeżdżając do Fastowa ujrzeliśmy piękny obraz. Ze stacji w kierunku Kożanki wyjeżdżał nowiutki błyszczący prawdziwy pociąg pancerny. Na dachach kulomioty, a przy nich leżeli w swych dawnych mundurach kadeci.

Do Kijowa przyjechaliśmy bez przeszkód, można powiedzieć luksusowo. □



PIOTR AUGUSTYNEK

## I znowu Orwell...

„Wolność oznacza prawo do twierdzenia, że dwa i dwa to cztery. Z niego wynika reszta...”

(George Orwell, rok 1984)

„Rok 1984” i Folwark zwierzęcy”. Dwie powieści G. Orwella, do roku 1989 uznawane przez opozycję demokratyczną w PRL za ostrzeżenie przed wynaturzeniami totalitaryzmu. Czytywane w tzw. drugim obiegu, omawiane na mniej lub bardziej nieformalnych zgromadzeniach młodej inteligencji. Stały się zarówno tekstami kultowymi, jak i źródłem celnych cytatów.

My, wyrobownicy szkolnej polonistyki pamiętamy, z jakim przejęciem przygotowywaliśmy lekcje właśnie tym powieściom poświęcone. Dominowało przecucie „teraz już można”. A skoro „już można”, to najpierw „TRZEBA”. Trzeba było uczniom opowiedzieć kim był autor (właściwe nazwisko Eric Artur Blair), jak stawał się obsesyjnym krytykiem wszelkich systemów autorytarnych czy totalitarnych.

Był bowiem – jak sam siebie nazywał – *demokratycznym socjalistą*. Brał udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Tam po raz pierwszy dobitnie przekonał się, że działania podjęte w imię słusznej sprawy bardzo łatwo mogą zwyrodnąć, skarleć, stać się całkowitym owej sprawy zaprzeczeniem. Rewolucyjny zapał mas, chęć osiągnięcia stanu elementarnej sprawiedliwości, ma być nie sposobem wyzwolenia, a metodą konsekwentnego, krok

po kroku zniewolenia jednostki. Znacie pamiętamy napis *Wszystkie zwierzęta są równe*, który w nocy przybrał formę *Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre są równiejsze*. Rzecz oczywista, że u Orwella ta operacja „podmiany”, czy „pudrowania” powszechnie szanowanej przez zrewoltowane zwierzęta prawdy musiała się odbyć w nocy. A jeśli jeszcze dodamy, że większość zwierząt nie umiała czytać, o zrozumieniu tekstu nie mówiąc... Noc to jednak świetna pora do realizacji celów politycznych. W imię i dla dobra słusznej sprawy, rzecz jasna.

Błyskawicznie można sobie skarżyć zwierzęcą opowiastkę Orwella z bajkami La Fontaine’a. Ale to nie tłumia niepokoju. Na miłą czuć cynizm, oszustwo, słowem wszystko to, co tak bardzo doskwierało udręczonym przez złego gospodarza zwierzętom.

Tutaj z punktu widzenia dydaktyki szkolnej narracja jest prosta i nietrudna do wyjaśnienia. Kłopoty zaczynają się wtedy, gdy młodzież podniesie głowy znad tabletów i zacznie zadawać pytania, lub zauważać podobieństwa. Co ma wtedy robić poczciwy belfer? Rąbać prawdę, nie bacząc na to, co widzimy w telewizji, czytamy w Internecie, czy słyszymy w radio? To trudne. Trudne, bo w tej naszej literacko-politycznej rzeczywistości



nic już nie jest jednoznaczne i niepodważalne. Dawne pojęcia utraciły swe znaczenia, zyskały nowe, albo zostały wymiecione z polskiej świadomości. Niech za wystarczająco dobitny przykład posłuży sformułowanie *prawdziwy Polak*. Prawdziwy Polak, czyli kto? Jełop o jednym zwoju mózgowym, hajlujący po zaroślach i świętujący urodziny zbrodniarza wszech czasów?

A może równie lotny osobnik-antysemita, który nawet nie wie, jak rozróżnić w tłumie Żyda, ale chętnie zrzuca nań wszelkie swoje frustracje, niepowodzenia i siermiężną głupotę? Czy „prawdziwy Polak” to ten, który nie ma pojęcia o zasadach dyskusji światopoglądowej, ale wszelkimi siłami chce jej zabronić?

Zmieniają się pojęcia, bezlitośnie i cynicznie wykoślawiane przez tych, którzy wiedzą lepiej. Swoistym rekordem bezczelności jest nazwanie ministrem ochrony środowiska jegomościa, który bezkarnie trzebił Puszcę Białowieską. Nic się nie stało (na razie!), bo kto chce zmienić ustrój demokratyczny na karykaturę, najpierw majstruje przy języku, przy zbiorowej pamięci, przy historii. Tworzy nowe znaczenia dla znanych pojęć, ale i nie ustaje w wysiłkach, by dodać coś od siebie. W „Roku 1984” pojawiają się cyniczne nazwy, np. Ministerstwo Prawdy, czy Ministerstwo Miłości. Za tymi pięknymi nazwami kryje się po prostu ich zaprzeczenie. Orwell wprowadza określenia: „dwójmyślenie” i „myślzbrodnia”. Celne określenia, ale przejmujące mimowolnym lękiem. Zawładnięcie językiem to może być pierwszy krok „w jedynie słusznym kierunku”, Tak właśnie było u Orwella.

A prawda? A obiektywnie rozpoznana i zapisana historia? To tylko polityczne liczmany. Jak to działa? Prościej, niż nam się zdaje. Sięgnijmy do „Roku 1984”: „Kto rządzi przeszłością, w tego rękach jest przyszłość, kto rządzi teraźniejszością, w tego rękach jest przeszłość...”.

Ciekawa obserwacja przydarzyła mi się podczas opowiadania młodzieży o orwellowskim „Wielkim Bracie”, który patrzy, oraz o monstrualnych teleekranach, śledzących zawsze i wszędzie. Moi młodzi słuchacze przeszli nad tym do porządku dziennego. Cóż się dziwić, mają przecież laptopy, tablety, komórki. Żyją z pochylonymi głowami. Nie można oderwać wzroku od wszechwładnego ekranu. □

## Mitoteka Narodowa

Rok Pański 2018 będzie w polityce, mediach i kościołach buzował podniosłością, patosem i bogoojczyźnianym zadęciem. Całoroczny polonez „radości z odzyskanego śmietnika” w stulecie tego odzyskania. Wszystkim oburzoną, a krewkim czytelnikom pospiesznie wyjaśniam, że powyższe sformułowanie, to o śmietniku, nie jest moje, lecz, Juliusza Kaden-Bandrowskiego, pisarza międzywojennego i legionisty. Jest cytatem z jego powieści „Generał Barcz”, wydanej w roku 1923. Powieści, o której Stanisław Cat-Mackiewicz, człowiek w owym czasie tyle opiniotwórczy, co i przemądrzały napisał „Generał Barcz czyni wrażenie powieści pisanej z głową wetkniętą w muszlę klozetową”. Karmienie się mitami może dobrze wpływać na samopoczucie, ale na pewno negatywnie na zdolność do trzeźwej oceny rzeczywistości.

Jak każdy naród na świecie także i my lubimy słuchać o sobie mile głaszczących nasze *ego* interpretacji historycznych, z których wynika, że nasze zasługi dla nas i przy okazji dla reszty świata są nie do przecenienia. Jednym z troskliwie pielęgnowanych mitów narodowych jest ten, który mówi, że Polska w listopadzie 1918 roku odzyskała niepodległość w wyniku trwających cały wiek XIX (i kawałek XVIII) powstań narodowych, tudzież dzięki Legionom Józefa Piłsudskiego, które przegnały zaborców z naszej ziemi precz. Prawda jest niestety mniej patetyczna, a konstruktywny stosunek do niej wymaga więcej dystansu, niż namiętności. Ojczyzna nasza zmartwychwstała, ponieważ bandyci, którzy ją zamordowali, pobili się pomiędzy sobą. Ta oczywista, wręcz trywialna prawda nie może jednak przejść przez gardło wielu historykom (także z profesorskimi tytułami), ani tym bardziej spłynąć z ich piór na kartę papieru.

Na początku jednak, zanim niektórzy okrzykną mnie *infamisem* i *parrycydem*, chciałbym złożyć jak najpoważniejsze oświadczenie: z całym szacunkiem chylił głowę przed wolą niepodległości, jaką nasz naród wykazywał przez cały okres

niewoli, przed bohaterstwem powstańców i hartem ducha polskich kobiet, które ich wspierały, z należną czcią odnoszę się do zbrojnego czynu legionów polskich, tak Jana Henryka, jak i Józefa. Uznanie dla męstwa ludzi z bronią w rękę walczących o wolność nie może jednak moim zdaniem oznaczać akceptacji dla kręactw polityków, którzy za plecami walczących załatwiali swoje małe interesy i zaspokajali chore ambicje, oraz dla przykrawiania faktów pod zapotrzebowanie polityczne.

Do kategorii zdarzeń najnowszej historii powszechnej – tych poniekąd wstydliwie przemilczanych, chętnie pomijanych przez piewców legendy o naszej samodzielnej drodze do niepodległości – należy fakt uzyskania w tym samym czasie niepodległości przez inne kraje, które nigdy zbrojnie o nią nie zabiegały, że wymienię tylko z naszego kręgu geograficznego Finlandię i Czechosłowację, czy Państwa Bałtyckie. Finowie swoją lojalność w stosunku do okupanta posunęli tak daleko, iż do tej pory Helsinki ozdabia pomnik ich ciemieżyciela, imperatora Wszechrosji Aleksandra II, a o lojalności braci Czechów w stosunku do każdego okupanta nie ma co nawet wspominać (z obrzydzeniem od wielu dziesiątków lat

mówią o niej nasi trubadurzy patetycznych hekatomb). Stanowczo nie ma sprawiedliwości na tym świecie, jeżeli Polska musiała witać niepodległość w takim towarzystwie. Proponuję: Finlandia i Czechosłowacja do lustracji, jakoś przecież trzeba zmasać tę niepedagogiczną plamę.

Gdyby nie „wojna powszechna”, o którą od czasów Mickiewicza modliły się całe pokolenia Polaków, moglibyśmy jeszcze długo czekać na cud wolności. Zorganizowana grupa przestępcza występująca m.in. pod ksywką Trzy Czarne Orły, która z większej części Europy uczyniła „więzienie narodów”, mogła upaść tylko tak, jak upadła – kiedy złodzieje pobili się o łupy. Takie są fakty i nic nie pomoże zasłanianie ich nawet „najbardziej słusznymi” fantazjami historycznymi. Jednakże w naszym polskim przypadku sam fakt wybuchu wojny światowej był zaledwie warunkiem koniecznym, ale niestety nie wystarczającym. Nasi bowiem rozbiornicy tak sprytnie podzieliли się rolami, że bez względu na to, która ze stron konfliktu by nie wygrała, zawsze w obozie zwycięskim byłby co najmniej jeden z nich, który już by zadbał o to, aby polskie aspiracje do niepodległości przykroić do właściwych wymiarów.

Już widzę (oczami wyobraźni, niczym nasi wybitni przedstawiciele gatunku *historical fiction*), tę budującą scenę, kiedy to cesarze niemiecki i austro-węgierski po wygranej przez nich wojnie uroczą się i ze skrucną zrzekają się zagrabionych w czasie rozbiorów ziem polskich i po złączeniu ich z odebraną podstępny kaczom częścią naszego terytorium wskrzeszają niezawisłą Rzeczpospolitą od morza do morza (*nota bene* kolejny to mit – Rzeczpospolita nigdy granic swoich o wybrzeża Morza Czarnego nie oparła). Równie porywająca i co ważniejsze bliższa realizacji byłaby wizja, w której to zwycięski Mikołaj II zrzeka się w Wersalu wszystkich

naszych ziem ukradzionych od czasów pokoju andruszowskiego, a wzruszeni przywódcy *ententy* rzucają mu się na szyję i wszyscy razem płaczą ujęci jego szlachetnością. Niestety wtrąciła się w sprawę zdradziecka bolszewia i do tej pięknej sceny nigdy nie doszło. Jaka szkoda, łażą się do prawdy w oku kręci.

Jakby nie spojrzeć na sprawę, to właśnie w wyniku rewolucji październikowej (obecnie wydarzenie to jest nazywane przez historyków, którym niespełna trzydzieści lat temu w sposób cudowny spadły klapy z oczu i szczęśliwie mogli na nie przejrzeć, puczem lub w najlepszym przypadku przewrotem) Rosja zawarła odrębny pokój z Niemcami, co w sposób automatyczny wyłączyło ją z grona zwycięzców. Co więcej, głoszone przez bolszewików hasła i ich praktyczna realizacja spowodowały przeświadczenie o konieczności odsunięcia jej granic jak najdalej od „cywilizowanej” Europy. I dopiero w takich warunkach nasza niepodległość stała się do zaakceptowania przez zwycięską koalicję.

Gdyby nie konieczność stworzenia „kordonu sanitarnego”, na nic by się nie zdały nawet najbardziej strzeliste akty naszego patriotyzmu, interes Rosji dla Francji i Anglii zawsze był ważniejszy niż nasze aspiracje (oba wymienione kraje jeszcze przed wojną zobowiązały się traktatowo wobec swojego rosyjskiego sojusznika traktować kwestię polską, jako wewnętrzną sprawę Rosji). Przypomnijmy: nawet w czasie wojny krymskiej, w której państwa te wystąpiły przeciwko Rosji, pomimo zabiegów naszej emigracyjnej dyplomacji na Zachodzie nie chcieli z nami mówić na temat naszej niepodległości. Dążenia Polaków w sposób dyskomfortowy zakłócały tak pięknie ułożony na Kongresie Wiedeńskim porządek europejski. Jest także wątpliwe, aby powstał „trzynasty punkt” Wilsona, gdyby

Mikołaj II w dalszym ciągu „zasiadał na majestacie”. W najlepszym przypadku moglibyśmy się doczekać czegoś w rodzaju Królestwa Kongresowego, okrojonego kadłubka z okrojoną suwerennością.

Takie zresztą plany miały w stosunku do nas państwa zaborcze. Chcąc pozyskać w toczącej się wojnie przychyłność polskiego społeczeństwa i świeże mięso armatnie kokietowały Polaków wizjami autonomicznego państwa. W tym kierunku zmierzał tzw. Akt 5 listopada, wydany w 1916 roku przez cesarzy niemieckiego i austro-węgierskiego oraz wcześniejsza (z 14 sierpnia 1914 roku) odezwa wodza naczelnego armii rosyjskiej wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Nawet rząd tymczasowy, który powstał w Rosji w wyniku rewolucji lutowej przewidywał dla Polski jedynie ograniczoną suwerenność. O żadnej natomiast suwerenności nie chcieli nawet mówić białogwardyjscy dyktatorzy, usiłujący w ciągu kilku lat bezskutecznie obalić bolszewicką władzę.

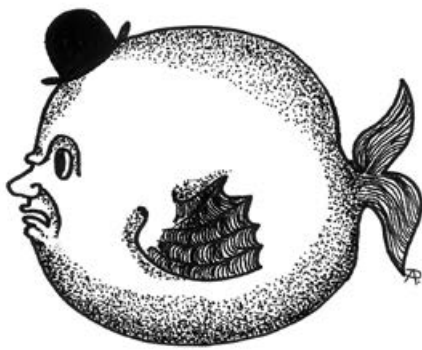
Zdawał sobie z tego sprawę Józef Piłsudski, który odmówił mimo nacisków ze strony Francji współdziałania z Białymi przeciwko Czerwonym. W październiku 1919 roku, mimo dobrze rozwijającej się dla Polaków sytuacji w działaniach przeciwko Armii Czerwonej, zatrzymał on nasz front na rubieży słynnej Berezyny. Gdyby przyłączył się wtedy do ofensywy gen. Denikina, Rosja Radziecka najprawdopodobniej wyzionęłaby ducha. Ale tego właśnie Marszałek nie chciał. Legitymizowani biali generałowie w razie przejęcia władzy zażądałiby od swoich zachodnich sojuszników respektowania zobowiązania, że kwestia polska jest wewnętrzną sprawą Rosji. Jako ciekawostkę można podać fakt, iż Denikin był półkrwi Polakiem, po matce Elżbiecie Wrzesińskiej, urodzonym we Włocławku i język polski uważał za drugi język ojczysty obok rosyjskiego.

Ale to wszystko miało miejsce później; wojna o granice, ofensywa 1919 roku, Bitwa Warszawska i odwrót bolszewików były następstwem upadku państw zaborczych wykrwawionych w wyniszczającej wojnie oraz upadku trzech zaborczych dynastii. I naprawdę nawet najbardziej bohaterskie czyny legionistów (a przykładów bohaterstwa dali wiele) czy dodatkowe dziesięć powstań narodowych w XIX wieku sytuacji by nie zmieniły. Za duża była dysproporcja sił, a i państwa zaborcze były dla Zachodu znacznie ważniejsze niż rozdarty na trzy części naród. Przykłady Finlandii i Czechosłowacji prawdę tą w pełni potwierdzają. Naszym natomiast „autorskim” sukcesem jest niewątpliwie wspomniana wojna o granice, powstania śląskie (niewykorzystane w pełni) i wielkopolskie (jedynie w naszej historii w pełni wykorzystane), oraz wygrana wojna bolszewicka.

Legionistów w czasie I wojny było tylu ilu było, ale na pewno zdecydowanie za mało, aby pokonać choćby najsłabszego z zaborców, nie mówiąc już o wszystkich trzech naraz. Zaczęli się oni cudownie rozmnażać dopiero po ustaniu działań wojennych. W 1933 roku w Krakowie z okazji 250 rocznicy bitwy po Wiedniem odbył się zlot legionistów. Kiedy Marszałek wszedł na trybunę ustawioną na Błoniach i zobaczył owo morze głów oraz sztandarów, to zwracając się do swojego otoczenia powiedział z przekąsem:

– Gdybym miał ich tylu w 1920 roku, to bym do Moskwy doszedł.

Od tego czasu nic się nie zmieniło. W ten sam cudowny sposób do monstrualnych rozmiarów rozrósł się po ostatniej wojnie ZBoWiD, a potem obecne związki kombatanckie, gdzie można znaleźć ludzi, którzy walczyli z okupantem jako niemowlęta sikając jemu na przekór w pieluszki (i to przez ponad miesiąc).



Innym z mitów wiążących się z odzyskaniem niepodległości jest tzw. Cud nad Wisłą, wylansowany przez endecję i Kościół. W zamyśle skierowany był przeciwko socjaliście Piłsudskiemu, który wprawdzie wysiadł był z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość, ale dla prawicy i tak był nie do zaakceptowania. Koncepcja tego mitu zasadzała się na tezie, że bitwę warszawską w 1920 roku wygraliśmy tylko dzięki interwencji sił nadprzyrodzonych, a więc wpływ Pana Marszałka na zwycięstwo był żaden. Nie przejmowano się tym, że przy okazji poniżało to Wojsko Polskie, generalicję, która nim dowodziła i w końcu naród, który stał za swoją armią murem. Okazywało się bowiem, że wszyscy Polacy razem wzięci byli za małymi Bolkami, aby wygrać samodzielnie z niezwyciężoną Armią Czerwoną. Prawda jest banalna – wygraliśmy bitwę, ponieważ w tym czasie i w tym miejscu byliśmy po prostu lepsi od przeciwnika. Historia wojen zna wiele takich zaskakujących zwrotów, ale z reguły ich autorstwo przypisuje się konkretnym ludziom, nie mieszając do tego Pana Boga; choćby dlatego, że nie akceptuje on przecież zabijania ludzi i na pewno do żadnej z jego form nie chciałby przykładać ręki (co innego wprawdzie wynika z lektury Pisma Świętego, ale nie bądźmy drobiazgowi).

Najnowszym wyhodowanym u nas mitem jest ten, jak to Polacy – dzięki uzdolnieniom do skakania u pewnego

elektryka, obalili światowy komunizm. Jak powiedział Akbah-Ułan do pułkownika Kmicica (cytuję z pamięci): Wojna efendi, jest po to, aby mężowie zbrojni łup brać mogli. Jest to definicja, której jak sądzę nie powstydziliby się sam generał major von Clausewitz. Łupem, o który przez wiele dziesięcioleci prowadzona była wojna pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem były setki miliardów, a może nawet biliony dolarów i wszelkie polskie zabiegi miały naprawdę marginalny wpływ na rozstrzygnięcie tej wojny. Nie ta skala, a poza tym nie słyszałem jeszcze o wojnie, po której zwycięzcy musieliby płacić reparacje, a polskie społeczeństwo przecież je płaci – bezrobociem, niedożywieniem dzieci, które dostają tylko jeden posiłek dziennie, wyparciem nas ze światowych rynków, czy rozgrabieniem majątku narodowego zbudowanego po wojnie wysiłkiem i wyrzeczeniami całego narodu, etc. etc.

Z mitami można próbować walczyć, ale rezultaty są mierne, ponieważ każdy woli widzieć się pięknym i bogatym, niż brzydkim i biednym. A poza tym zbyt wiele sił jest zainteresowanych ich – tj. owych mitów – eksploatacją dla własnych potrzeb. Mimo to jednak próbować trzeba.

I jeszcze na koniec chciałbym postawić pewne pytanie nie związane bezpośrednio z tematem mojej wypowiedzi, ale dla mnie frapujące. Przy okazji ostatnich obchodów Wszystkich Świętych dowiedziałem się z mediów, że w polskim Kościele istnieje funkcja kapelana dla rodzin, których bliscy polegli, bądź zostali pomordowani na Wschodzie. Otóż ciekaw jestem, czy jest także osobny kapelan dla rodzin, których bliscy polegli, bądź zostali pomordowani na Zachodzie. A jeżeli nie, to dlaczego? Czy śmierć z rąk niemieckich oprawców była mniejszą tragedią niż z rąk oprawców stalinowskich? □

## Dlaczego?

Statystyczny Polak – zaryzykuje własną opinię – nie przepada specjalnie za Monthy Pythonem. Już bardziej za Benny Hillelem. Nie interesuje go więc szczególnie np. Ministerstwo Bardzo Dziwnych Kroków. Chętnie natomiast odnotowuje w pamięci dowcipy np. góralskie i tzw. żydowskie. Dokładniej: *dowcipy o Ż y d a c h*. Starych kawałów jest bez liku, ale skąd się biorą nowe? Przecież gdyby spytać tegoż statystycznego Polaka, czy zna w swym najbliższym środowisku jakiegoś Żyda, zastanawiałby się dłuższą chwilę, zanim by kogoś wskazał. No, są „specjaliści ds. czystości rasowej”, którzy natychmiast wskażą kogo trzeba. Choćby to był cały stadion wypełniony ludźmi do ostatniego miejsca. W tym przypadku warto spytać „rzeczoznawcę”, czy to są jacyś „inni” ludzie na tej Cracovii, czy może gorsi, i dlaczego on, kibic Wisły, nazywa ich Żydami? Zapytany delikwent popatrzyłby na mnie jak na starego (na szczęście) idiotę, popukałby się w czoło i wykrzyknął patriotycznie: *Panie! Przecież to jasne! To są Żydy i z nimi się walczy na ostro! Czytasz pan prasę, nie?* No, niestety, czytam. Myślę, że o tych Żydach nowych dowcipów raczej się nie układa. Za nimi goni się z maczetami i kastetami. Na świeżo. Przed derbami i po derbach.

Dowiedziałem się natomiast, że w środowisku akademickim pewna liczba naukowców posiada niepokojące rysy twarzy (ach ci antropolodzy!),

ale to są podobno Eskimosi, czy też Lapończycy. Tak się teraz o nich mówi. O, o nich to już nawet nowy dowcip usłyszałem. Otóż na spotkaniu klimatologów Rosjanin wyjął: – *W Wierchojańsku odnotowano zeszłej zimy minus 73 stopnie C. U nas w Stuposianach – pochwalił się Polak – minus 37. A u nas w Norwegii to kiedyś Golfsztrom zamarzl – pochwalił się Skandynaw. Dobrze mu tak, staremu Żydowi – dodał Polak. Co za refleks, prawda? A miało być o Eskimosach...*

No więc czy są nowe dowcipy o Żydach? Nie ma. Bo jak wyjaśnił mi stary znajomy antysemita, po holokauście prawie wszyscy pozostali Żydzi wyemigrowali do kraju /do Izraela/, tylko nieliczni pozostali za granicą /w Polsce/, a kilku ostatnio przebywa w Brukseli.

Jeśli ktoś jeszcze potrafi „sprzedać” parę przedwojennych, kabaretowych szmoncesów, to na pewno tylko mistrzowie w tej materii. Ale oni już prawie nie żyją, albo mieszkają w Warszawie.

Gdy wspomniany statystyczny Polak pojawia się w łazienkowym lustrze, często zadaje sobie takie pytanie: Czy ja jestem antysemitą, czy filosemitą, czy kim właściwie do cholery? No bo tak: lubię mądry humor żydowski, lubię bajgle, mam podobno smykałkę do handlu (zresztą Fenicjanie też ją mieli), za mięsem wieprzowym nie przepadam (chyba tylko za schabowym bez kości), podobają mi się ładne



Żydówki (zupełnie jak przedwojennym narodowcom), ale... Ale pejsachówka jest dla mnie niepotrzebnie za mocna; w Izraelu na wszelki wypadek nie byłem i nie lubię, jak się o Żydach bez przerwy pisze w Wyborczej (szczególnie w Wysokich Obcasach); a czytam ją od początku jej słusznego istnienia. Nie uczęszczam do synagogi. Zresztą do żadnego kościoła nie uczęszczam. Chyba że na pożegnanie zacnych zmarłych. Gdy zwiedzałem Józefów w Pradze Czeskiej, moją uwagę w salach muzealnych zwróciła (z zazdrością i ze zdziwieniem) mnogość uratowanych srebrnych naczyń i żydowskich przedmiotów rytualnych oraz kosmetycznych (np. balsaminek). W Polsce tyle by się nie uratowało. Denerwuję się, gdy mówią, że matka Mickiewicza była karaimką, czy też frankistką z pochodzenia. No jakże tak. Sam Łukaszenka zbudował Mickiewiczowi muzeum w Zaosiu, doceniając go jako poetę ziemi białoruskiej. Tyle problemów dręczy w łazience z samego rana bogu ducha winnego statystycznego Polaka, a cóż dopiero mnie.

Gdy czasem cofam się pamięcią w odległe czasy mego dzieciństwa, jawią mi się kolędniczy. Zawsze śmierć, diabeł, dostojny król Herod, pasterz

z gwiazdą betlejemską i często Żyd. Żyd w chałacie, z pejsami, podrygujący i robiący głupie miny. Zastanawiałem się potem: dlaczego tylko jeden Żyd, skoro w Betlejem, w stajence – z wyjątkiem trzech króli – wszyscy byli żydowskiego pochodzenia? Bałem się o to spytać swego szkolnego katechety. Zastanawiało mnie też, dlaczego ten Żyd w korowodzie polskich kolędników jest zawsze taki idiotyczny i śmieszny, choćby by był nawet Aramejczykiem. A już na myśl mi nawet nie przyszło, że Maria mogła być Żydówką.

W szkolnej ławie, w liceum, siedział przede mną Józef Ehrenreich, Żyd. *Nota bene* mieszkał na ulicy imienia Eliasza Goldhammera, pierwszego wiceburmistrza Żyda w Tarnowie. Józek zjawił się w liceum – jak mówił – nie wiadomo po co. Jego matka uratowała się z częścią rodziny w czasie wojny, uciekwszy do krewnych w ZSRR. Choć wrócili do Tarnowa, to jednak zdecydowali się na wyjazd do Izraela. Ponieważ formalności wlokły się miesiącami, matka posłała go do ogólniaka, bo miał już około 15-16 lat. Zaprzyjaźniłem się z nim. Zaintrygowała mnie m.in. nazwa miejscowości, w której się urodził. W metryce napisało: Chimleschoz nr ... . Okazało się, że to po prostu były numerowane leśne zakłady chemiczne w... tajdze. Do krewnych nie dotarli. Wkrótce wyjechali do Izraela przez włoski punkt repatriacyjny dla Żydów ze wschodniej Europy. Józek wysłał do mnie dwa listy z opisem podróży. Trafił do kibucu. Wcielono go do oddziałów paramilitarnych; i po tym jak napisał mi, że jadą

nad granicę z Syrią, już więcej się nie odezwał. Być może z powodu cenzury wojskowej. Może zginął. Pamiętam do dziś jego adres: Doar Szwaim, Dodi Szwaim, Israel. Dlaczego użyłem jego nazwiska w pełnym brzmieniu? Z prostego powodu: cały Internet jest pełen Jozefów Ehrenreichów, a 9/10 tej populacji mieszka w USA lub... na całym świecie.

Wracając do dzisiejszych czasów. Kiedyś pozwoliłem sobie dyskretnie zażartować z pewnego porządnego katolika, który odwiedził mnie akurat w dniach muzycznego festiwalu na Szerokiej. *To żydki mają w szabas imprezę?* – spytał niedowierzająco. – *Tak, chodź, zobacz jakie tłumy tańczą i podśpiewują.* Ledwo precyzyjnie się w kierunku estrady. Mój gość patrzył zdziwiony nie na występujących muzyków, lecz na dziesiątki osób jedzących z rusztu kielbaski, zapewne wieprzowe, i popijających piwo. – *Ci wszyscy to Żydzi?* – spytał. – *No nie. To tylko ci na scenie* – objaśniłem. Odetchnął z ulgą i... zakupił kielbaskę z piwem.

A propos pojęcia „żydki” (przez małe ż). Przechodziłem akurat ulicą Dajwór na Kazimierzu, gdy właśnie zajęchały na pobocze dwa autokary z grupą Żydów ortodoksów w charakterystycznych ubiorach i nakryciach głowy. Wtem z pobliskiej bramy wybiegł może pięcioletni chłopiec z okrzykiem: – *O, żydki przyjechały!* Obiegł autokary wyraźnie ubawiony widokiem brodatych i pejsatych przyjezdnych. Dobiegł do mnie i spytał: – *Nie widzi pan, jak śmiesznie ubrani? Dlaczego śmiesznie?* – spytałem. *No bo po żydowsku* – odparł i pobiegł

ulicą. Pomyślałem sobie: pewnie u niego starsi zwyczajowo mówią mu też: – *Zdejm czapkę Żydzie, jak wchodzisz do domu!* Albo: – *Robisz coś po żydowsku!* – Czyli pewnie na opak.

Wiele lat temu Daniel Passent wyraził w Polityce swe ironiczne zdziwienie, że choć w Polsce nie ma już prawie Żydów, to tak pięknie rozkwita dalej antysemityzm. Skąd się „to bierze”? Pytanie źle postawione. Jaki antysemityzm? Czy tylko werbalny, czy „wyhodowany” i zakodowany w wielu polskich rodzinach jako oczywisty w części polskiego społeczeństwa. Polska, historyczna tolerancja to mit, to przecież tolerancja dla tolerowanych. Gdyby było inaczej, nie byłoby może pogromów, getta ławkowego, korporantów z pałkami, nalepek „ta świnia kupuje u Żyda”, szmalcowników, Jedwabnego, Kielc, itd., itd. Oczywiście, że była i „Żegota”, i tysiące Polaków z narażeniem własnego życia ratujących życie ukrywanym u siebie Żydom. Jednakowoż niemal atawistyczne uprzedzenie części Polaków do Żydów daje o sobie wciąż znać. Zaraz pewnie usłyszę o żydowskich funkcjonariuszach UB, o żydowskich komunistach, zwolennikach kolejnej republiki sowieckiej, o żydowskich kamienicznikach. To wszystko prawda. Ale młode pokolenie powinno poznawać całą prawdę. Werbalny, płytki, czasem śmieszny niby antysemityzm wynoszą dzieci często z domu, ale palenie kukły Żyda, na razie „tylko” obrażanie żony prezydenta, budzić już musi grozę i zastanowienie, a także oczywiste pytania: kto inspiruje takie zachowania i kto na nie przyzwala, a także: kto nie reaguje



stanowczo na nie, głosząc swą naukę o miłości bliźniego.

Nie jestem filosemitą. Ludzi cenię przede wszystkim za ich mądrość i zaradność życiową, intelekt. „Współwyznaję” wartości takie jak właśnie sensowna tolerancja, szanuję inność kulturową – bez narzucania jej nachalnie innym, cenię sobie prawo do własnych przekonań. Rozumiem też obustronne kłopoty adaptacyjne osób innej rasy w „cudzym” środowisku. Doświadczyłem tego osobiście (w Iraku), dlatego otwarcie przez Angelę Merkel furtki wszystkim imigrantom „jak leci” uważam za błędne i szkodliwe. Czasem bariera kulturowa i religijna jest nie do przewyciężenia. Najlepszym dowodem tego była wieloletnia izolacja *sztetli* we wschodniej Europie, co szalenie ułatwiło hitlerowcom „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” na tych terenach. Zresztą dziś np. Turcy w Niemczech, Arabowie w południowej Francji, żyją często w skupiskach rządzących się własnymi „prawami”, wobec których prawo lokalne bywa nieskuteczne, albo też tamtejszej Temidzie zbyt zasłonięto oczy.

Zamysł powyższego tekstu pojawił mi się jakiś czas temu. Wydał mi się wówczas właśnie „na czasie”. Tymczasem obecne wydarzenia (mamy przełom stycznia i lutego) w sferze krajowej i międzynarodowej wprawiły mnie w osłupienie. W rocznicowe obchody holokaustu, tuż przed 50 rocznicą wydarzeń marca 68, nasza „wiodąca opcja polityczna” wypuściła niechcący (?) kłopotliwego „dżina”, jakże miłego dla antysemitów we Francji, w Anglii, a nawet w Niemczech. Mam oczywiście na myśli projekt ustawy. Odetchnęli tam oni z ulgą. Tamtejsze elity są przecież „czyste”, do nich nie można mieć pretensji o białe rękawiczki. Komu i na co potrzebna jest więc procedowana ustawa? Sam czort jeden by zapewne wiedział, ale i zdroworozsądkowo myślący Polacy też wiedzą. Ustawę przygotowano na użytek wewnętrzny z nieprawdopodobnymi szkodami dla zewnętrznego wizerunku Polski. Przy okazji okazała się przydatna do wewnętrznych rozgrywek partyjnych w Knesecie. Nie odkrywam tu żadnej Ameryki. Lobby żydowskie w Stanach – już dawno odkryte. Wypada tylko zapytać mieszkańców np. wyspy Bali czy wiedzą, jaka jest różnica między niemieckimi a polskimi obozami zagłady i... gdzie leży Polska. A wystarczy otwarcie przyznać, że byli Polacy, którzy ratowali Żydów i byli też tacy – choć to smutne – którzy ich mordowali. A dlaczego reszta Polaków nie robiła nic w tej sprawie? Bo np. Francuzi mogą nie wiedzieć, że w Polsce w czasie okupacji niemieckiej za pomoc Żydom groziło rozstrzelanie z całą rodziną. Chyba, że wiedzą. □

STANISŁAW FRAN CZAK

## Prasa polska na Węgrzech w latach II wojny światowej

Aktualnie ukazała się obszerna i ze wszech miar interesująca książka naszego kolegi redakcyjnego i członka Prezydium Rady Wojewódzkiej Towarzystwa Kultury Świeckiej w Krakowie – prof. Krzysztofa Woźniakowskiego, zatytułowana „Polskie czasopiśmiennictwo uchodźcze na Węgrzech 1939-1945 – w serii „Media”.

Prof. Krzysztof Woźniakowski, znany prasoznawca i specjalista w dziedzinie kultury literackiej jest kierownikiem Katedry Badań Książki i Prasy Instytutu Naukowej i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, a także przewodniczącym Komisji Prasoznawczej PAN w Krakowie, autorem ok. 150. artykułów naukowych i wielu publikacji książkowych.

Autor tej ciekawej publikacji analizuje swoisty fenomen uchodźstwa polskiego na terenie Węgier w okresie II wojny światowej. Mimo przymierza władz węgierskich z Trzecią Rzeszą otwarto czasowo granice dla cywilnych i wojskowych uciekinierów polskich w okresie 17 – 28 września 1939 roku. Był to niewątpliwie akt dobrej woli wynikający z historycznych związków i sympatii między oboma narodami. W tym czasie odnotowano ok. 6 tysięcy członków Polonii osiadłej na stałe na Węgrzech, a ogromna większość naszych ziomków korzystała z tego przystanku, by dalej przedostać się na Zachód (szczególnie do Francji).

Węgierskie władze odnotowały do 11 października 1939 roku, że przyjęto ponad 40 tysięcy wojskowych i ok. 14 tysięcy cywilów. Szacuje się, że przez okres wojny mogło tam być około 100 tysięcy Polaków.

Uchodźcy mieli opiekę i pomoc władz węgierskich w obozach internowania – wojskowych i cywilnych. Tolerowano działalność kulturalno-oświatową, a nawet konspiracyjną (przymykano na to oko) tak, by sojusznik hitlerowski nie ingerował.

Wkrótce w ośrodkach skupisk polskich pojawiła się prasa i wydawnictwa polskojęzyczne, które wyróżniały się swą specyfiką literatury wydawanej w innych krajach okupowanych przez Niemców. Wyróżniły się głównie tym, że eksponowały historyczną problematykę polsko-węgierską, przemilczając aktualną sytuację uwikłania Węgier w pakt hitlerowski. Uświadamiały zaś problemy socjalno-bytowe i kulturalno-artystyczne. Ponadto prowadziły własny kolportaż i wykorzystywały własny sprzęt poligraficzny, co pomniejszało znacznie koszty. To tu, na Węgrzech rozpoczęła się historia polskiej prasy emigracyjnej w okresie okupacji.

Jeszcze trwała kampania wrześniowa, gdy zaczęła się ukazywać pierwsza w historii wojennej polska gazetka uchodźcza „Polak na Węgrzech”. Ogółem rejestruje się, według różnych źródeł, 53 tytuły czasopism do 64 (z jednodniówkami).

Najbardziej powszechne były ukazujące się 3 razy w tygodniu (od 2. XI. 1939 do 24. III. 1944) „Więści Polskie”, podporządkowane rządowi RP na uchodźstwie, a także czasopisma pod egidą Biblioteki Polskiej. W okresie okupacji niemieckiej Węgier od 10. III. 1944 i późniejszych rządów węgierskich faszystów zlikwidowano wszystkie polskie czasopisma. Ocalało tylko „Słowo” (20. III. – 1. XII. 1944) – dekadówka cenzurowana przez Niemców.

W czasie od 4. IV. 1945 do XII. 1945 r. wydawano na powielaczu „Biuletyn Informacyjny”.

I tak dzieje polskiego wojennego czasopiśmiennictwa na Węgrzech zatoczyły koło przyjmując kształt podobny do początków swej historii we wrześniu 1939 r.

Autor tej publikacji szczegółowo omawia historię królestwa Węgier w czasie II wojny światowej i politykę władz, które „balansowały” dyplomatycznie aż do okupacji niemieckiej. Na tym tle omawia sytuację społeczności polskiej na Węgrzech oraz dzieje prasy polskiej z wyszczególnieniem tytułów czasopism i wydawnictw. Osobnym problemem zarysowanym przez badacza są organizacje polskie na Węgrzech o charakterze wojskowym, harcerskim, religijnym, społecznym i kulturalno-oświatowym. Stanowi to swoiste kompendium wiedzy dla czytelnika i historyka dziejów II wojny światowej.

Warto podkreślić, że fenomenem czasopiśmiennictwa polskiego na uchodźstwie były „Więści Polskie” (1939-1949), które niby pismo prywatne wydawane ze środków własnych polonofilów miały jednak wyjątkową pozycję edytorską,

podporządkowaną rządowi emigracyjnemu w Londynie.

A działało się to w państwie koalicji hitlerowskiej. Wiadomości z tego pisma czerpali wojskowi, dyplomaci i wszyscy Polacy na uchodźstwie.

Bezpłatnie kolportowano w obozach polskich tygodniki „nasza Świątlica. Materiały Obozowe” (1941-1943), a potem „Tygodnik Polski. Materiały Obozowe” (1943-1944).

Znana była i ceniona Budapesztańska Oficyna Wydawnicza „Biblioteka Polska”, wydająca m. in. roczniki i almanachy kulturalne, a także „Rocznik Polski, Kalendarz Polski na Węgrzech” (1942-1944) oraz szczególnie dziś cenne „encyklopedię” polskiego uchodźstwa na Węgrzech, bogato ilustrowaną.

Biblioteka wydawała też dwutygodnik „Jestem Wasza” (1943) oraz „Słowo” (1944).

Ta karta z dziejów kultury polskiej na Węgrzech czasów wojny i okupacji jest niezwykle cenną dla nas, tym bardziej, że mało znana i umiejscowiona po stronie wrogiej osi, a jednak tym cenniejsza, że zachowała naszą kulturę i zapis świadomości rodaka na wygnaniu.

Mimo ograniczeń cenzury i utrudnień funkcjonowało życie kulturalne i społeczne, a periodyki ukazujące się na Węgrzech, nie odbiegały poziomem od prasy emigracyjnej na zachodzie. Pełniły one bardzo ważną rolę polityczną i kulturalną dla uchodźców i Polaków na całym świecie. □

Krzysztof Woźniakowski:

*Polskie czasopiśmiennictwo uchodźcze na Węgrzech 1939-1945*, s. 444.

Wydawnictwo Scriptorium, Opole 2016.

## Carlo Rovelli – nowoczesny kosmolog wraca do Demokryta

Recenzja – laika – dotyczy książeczki napisanej właśnie dla laików pt. *Siedem krótkich lekcji fizyki* (Oficyna Naukowa, Warszawa 2017, s. 59 z indeksem). Jej autor – Rovelli (\*1956) należy do grona najwybitniejszych uczonych zajmujących się grawitacją kwantową. On sam jest współtwórcą teorii grawitacji pętlowej i współodkrywcą gwiazdy Plancka; bywa określany mianem „następnego Hawkinga”. Jak się można przekonać przeglądając jego prace popularnonaukowe – a nawet czytając jednym tchem niezwykle przystępnie, barwnie i wręcz pięknie zarazem napisane (chwała też tłumaczom!) – takie jak np. *Rzeczywistość nie jest tym, czym się wydaje*, w przekładzie Michała Czernego (wyd. Feeria Science – JK, Łódź 2017, s. 288 z bibliografią) czy wspomniana wyżej pozycja *Siedem krótkich lekcji fizyki*, którą przełożyła Urszula Buczkowska-Marchetti (w sumie tę broszurę przetłumaczono na 41 języków), Rovelli jest prawdziwym polihi-storem, potrafiącym budować również pogląd na świat i człowieka w oparciu o prawie cały dorobek filozoficzny i psychologiczny ludzkości; ze szczególnym uwzględnieniem europejskiej tradycji umysłowej i ogólnokulturowej.

W recenzowanej książeczce najbardziej rzuca się w oczy nacisk Autora na ciągłość myślową, którą podkreśla z całą mocą swego naukowego autorytetu i argumentuje (bardziej szczegółowo w znacznie obszerniejszej *Rzeczywistości*): od Demokryta, Arystotelesa i Epikura (w łacińskim tłumaczeniu Lukrecjusza), przez Ptolemeusza, Kopernika i Newtona, po Einsteina, Bohra i Hawkinga. Od Demokrytowych niepodzielnych drobin (atomów), przez cząstki i kwanty, po bozon Higgsa i ziarna najnowszych teorii fizycznych.

A teraz kilka szczegółów – problemów, które czekają na czytelnika *Siedmiu* lekcji, niezbyt wdrożonego, czyli niemającego za sobą kompletnych studiów uniwersyteckiej fizyki. Weźmy na początek kwestię czasu. Człowiek średnio wykształcony spotkał się z koncepcją czasu jako „miary zmiany” (upowszechnioną głównie przez Kanta i fizyków-neopozytywistów), czy jako

rodzaju relacji pomiędzy rzeczami; relacji szczególnie „wrażliwej” w przypadku odniesień między ludźmi (coś/ktoś jest starsze/starszy, albo młodsze/młodszy). A tu Rovelli powiada, że czas jakoby płynie. Sam Einstein też przewidywał – pisze Rovelli – że „czas płynie szybciej w górze, a wolniej w dole, blisko Ziemi. Pomiary to potwierdzają.” (*Siedem ...*, s. 12). Płynie? Pomiary potwierdzają przenosić „płynie”?

Mało tego. Wygląda bowiem na to, że i w odniesieniu do przestrzeni wybitny fizyk-teoretyk Rovelli popada w metaforyczność. Pisze: „Cała przestrzeń może się rozciągać i rozszerzać.” (tamże). „Co więcej, równanie Einsteina wykazuje, że przestrzeń nie może trwać w bezruchu, musi się nieustannie rozrastać. W 1930 roku rozrost wszechświata zostaje rzeczywiście zaobserwowany.” (tamże).

Wolałbym już, na mój rozum laika, żeby Rovelli mówił o rozroście czy ekspansji pola we wszechświecie,

takiego lub innego, a nawet uogólnionego. Wprawdzie za Einsteinem utożsamia przestrzeń z polem (tym uogólnionym właśnie, jak rozumiem), lecz przejście pojęciowe: przestrzeń-pole-wszechświat wydaje mi się nazbyt metaforyczne, aby można było mówić o ścisłości takiej teorii – albo raczej koncepcji – fizycznej. Podobnie wrażenie przenośni robi teoria mówiąca o marszczeniu się przestrzeni.

Następna kwestia to „świat, gdzie wybuchają wszechświaty” (s. 13). Tu już – nagle – zmieniamy tradycyjną gradację mówiącą, że światy są elementami wszechświata, na tę, która mówi, że wszechświaty mieszczą się w świecie? W dodatku „przestrzeń zapada się w dziury bez wyjścia” (tamże). Coś okropnego!

Na szczęście (?) Rovelli nie jest w tym konsekwentny, jak to w „szkole”. Oto bowiem pod koniec lekcji 3 powiada, ciągle metaforycznie (i autorytarnie, jak wyżej, czyli w szkółce, albo raczej w przedszkolu): „Wszechświat rodzi się jako mała kulka, a później wybucha, aż do osiągnięcia swoich obecnych kosmicznych rozmiarów. Taki jest nasz dzisiejszy obraz wszechświata, w największej skali, jaką znamy” (s. 26; podkr. JK).

Widać z tego – jeżeli jeden z najwybitniejszych fizyków naszych czasów tak pisze – że inaczej niż metaforycznie się nie da... Czyżbyśmy mieli więc do czynienia z kolejną edycją Heraklitowej dialektyki przeciwieństw i w ogóle jońskiej filozofii przyrody? Nie sposób nie zauważyć, że Rovelli obstaje nadal przy przeświadczeniu, że wielcy Grecy prawie wszystko celnie ujmowali (choć wyrażali swoje myśli w przenośnym czy zgrubnym języku, jak choćby Siedmiu Mędrców czy Demokryt) i przewidzieli bardzo dużo z tego, o czym dzisiaj znowu głośno (po upływie grubo ponad 2 tysięcy lat).

W lekcji piątej – o pętlowej grawitacji kwantowej i ziarnistej strukturze przestrzeni – Rovelli nazywa wreszcie rzeczy po imieniu. W świetle owej teorii „Nie ma już przestrzeni, która <zawiera> świat, i nie ma już czasu, <>w którym> zachodzą wydarzenia. Są tylko elementarne procesy, w których kwanty przestrzeni i materii bez przerwy na siebie wzajemnie oddziałują. Złudzenie przestrzeni i czasu, które trwają, jest rozmytą wizją tego gęstego mrowienia procesów elementarnych.” (s. 35; podkr. JK). A nieco wcześniej powiedział, że kwanty sobie skaczą (s. 32).

Co się tyczy wielkiego wybuchu i pytania, co było przed nim, odpowiedź Rovelliego też jest prosta: fluktuacja. Autor nie używa tutaj (na s. 37/38, gdzie napomyka o tej eksplozji) tego terminu, lecz jego pojęcie „odbicia” wyraźnie kojarzy się z teorią fluktuacji, czyli koncentracji materii (aż po czarne dziury) i jej dekoncentracji, objawiającej się tzw. ucieczką galaktyk.

A co będzie – w końcu (?) – z czasem? W lekcji 6 czytamy: „Fizycy i filozofowie doszli do wniosku, że idea teraźniejszości wspólnej dla całego wszechświata jest złudzeniem, a powszechny <upływ> czasu jest uogólnieniem, które się nie sprawdza.” (tamże, s. 44 i n.).

Dalej robi się jeszcze ciekawiej: „Skąd więc nasze żywe doświadczenie upływu czasu? Odpowiedzią jest ścisłe powiązanie pomiędzy czasem a ciepłem. Różnicę między przeszłością a przyszłością daje się zaobserwować tylko wtedy, kiedy istnieje przepływ ciepła; a ciepło jest powiązane z prawdopodobieństwem w fizyce. To z kolei wiąże się z tym, że nasze oddziaływania z resztą świata nie rejestrują drobnych szczegółów rzeczywistości (s. 45). No tak... A w końcu: „(...) my, istoty z ograniczoną świadomością, zamieszkujemy czas, gdyż

widzimy jedynie zamazany obraz świata. (...) <To, co jest niewidoczne, jest nieporównanie większe od tego, co jest widziane.> Z tej nieostrości świata rodzi się nasze postrzeganie upływu czasu (s. 46).

W lekcji 7 zaś pojawia się światélko w tej sferze zamazania: „Informacja, jaką jeden system fizyczny posiada o innym systemie, nie ma w sobie nic pamięciowego czy subiektywnego: jest to tylko związek, jaki fizyka ustala między stanem czegoś a stanem czegoś innego. Kropla deszczu zawiera informację o obecności chmury na niebie.” (s. 51).

Kolejna ciekawostka na temat świadomości oraz samoświadomości, tudzież wolności. Fizyk (i filozof w jednej osobie) Rovelli powiada: „Kiedy mówimy, że jesteśmy wolni, i to prawda, że możemy być, znaczy to, że nasze zachowania są determinowane przez to, co dzieje się w nas samych, w mózgu, a nie są wymuszane z zewnątrz. (...) Oznacza, że [nasze zachowania] są determinowane przez prawa natury, które działają w naszym mózgu. Nasze wolne decyzje są swobodnie wyznaczane przez rezultaty przelotnych i przebogatych interakcji między miliardami neuronów naszego mózgu; są wolne w takim stopniu, w jakim oddziaływanie tych neuronów je determinuje.” (s. 53). I dalej: „Kiedy mówimy, że zachowanie ludzkie jest nieprzewidywalne, mamy rację, bo jest zbyt złożone, by mogło być przewidziane; zwłaszcza przez nas samych. (...) Jesteśmy źródłem zadziwienia dla nas samych.” (tamże).

I na zakończenie: „Natura jest naszym domem i w naturze jesteśmy u siebie. Ten dziwny, wielobarwny i zaskakujący świat, który odkrywamy – gdzie przestrzeń jest ziarnista, czasu nie ma (podkr. JK), a rzeczy mogą nie istnieć w żadnym miejscu – nie jest czymś, co nas oddala od samych siebie.” (s. 56).

No cóż, można jeszcze tylko dodać, że fizyka dzisiejsza nie szczędzi nam paradoksów. Tych samych, które dostrzegali starożytni myśliciele, a do tego jeszcze wielu innych. Jeśli zaś w popularnej broszurce ujawnia się ich tyle (co pokazałem w niniejszej recenzji), to ilu należy się spodziewać po obszerniejszych opracowaniach? Niewykluczone, że w następnym numerze pokażemy jeszcze więcej iście zawrotnych koncepcji kosmologii współczesnej (recenzując wspomnianą na wstępie książkę tego samego autora, Carlo Rovellego, *Rzeczywistość nie jest tym, czym się wydaje*). To omówienie więc niech będzie zachętą do wspólnego pogłębiania naszej wiedzy. □

## Piotr Augustynek

### *Wiosennie*

Tuż, tuż  
wystarczy spojrzeć  
kot stroszy ogon  
za chwilę przyjdzie  
czas miaukotów  
trzeba poćwiczyć gamy.

W piwnym ogródku  
znowu zakwitły  
nosy  
w szalonej czerwieni  
w biskupim fiolecie.

Sukienki się kurczą  
i to zawsze wzdłuż  
szyja będzie boleć  
od rozglądania się.

Nawet na cmentarzu  
zaczyna być wesoło  
sztuczne kwiaty  
też chcą mieć  
swoje pięć minut.

**Tygodnik Powszechny/ gazeta.pl/Rzeczpospolita (publikacja: 19.01.2018): O. Wiśniewski (Ludwik Wiśniewski OP, właśc. Marian Wiśniewski – polski dominikanin, duszpasterz akademicki, rekolekcjonista, działacz opozycji antykomunistycznej. Wikipedia) w „Tygodniku Powszechnym”: Oto na naszych oczach umiera w Polsce chrześcijaństwo**

Wikimedia Commons, Creative Commons Attribution-Share Alike 4.0 International license, fot. Adam Walanus

Oto na naszych oczach umiera w Polsce chrześcijaństwo. Chrześcijaństwo wykorzeniamy my sami, duchowni i najgorliwsi członkowie Kościoła, własnymi rękami i na własne życzenie – napisał w „Tygodniku Powszechnym” dominikanin o. Ludwik Wiśniewski.

Duchowny poruszył w swoim artykule problem odchodzenia wiernych od Kościoła w Polsce. Według ostatnich badań w 2016 r. w liturgiach uczestniczyło jedynie 36,7 proc. zobowiązanych.

Cóż się takiego stało? – pyta o. Wiśniewski w artykule pt. „Oskarżam”. I odpowiada: Wprowadziliśmy w naszą religijność element, który ją rozsadza: wrogość.

A tam, gdzie jest wrogość, tłumaczy dominikanin, tam jest przyzwolenie na nienawiść. „Można więc pluć, drwić i deptać ludzi, można bezpodstawnie oskarżać ich o niegodziwość,

a nawet zbrodnię, i równocześnie powoływać się na Ewangelię, stroić się w piórka obrońcy chrześcijańskich wartości i Kościoła, odbywać pielgrzymki na Jasną Górę, składać świątobliwie ręce do modlitwy i ukazywać w mediach rozmodloną twarz” – pisze o. Wiśniewski.

<http://www.rp.pl/>

[Kosciol/180119132-O-Wisniewski-w-Tygodniku-Powszechnym-Oto-na-naszyc-oczach-umiera-w-Polsce-chrzescijanstwo.html](http://www.rp.pl/Kosciol/180119132-O-Wisniewski-w-Tygodniku-Powszechnym-Oto-na-naszyc-oczach-umiera-w-Polsce-chrzescijanstwo.html)



### [z komentarzy:]

**Sebastian Borowski**, Technical University of Lodz:

Niestety to głos mniejszości w kościele, ale zawsze lepsze to niż nic. Zapewne kościół pójdzie po rozum do głowy gdy większość wiernych odplynie...

**Janina Serafin**, Tarnobrzeg: Ten Ojciec napisał bardzo dużo prawdy.

Włada Bien, Radziszewo, Zachodniopomorskie, Poland: Przepraszam ale dlaczego o. Wiśniewski i jemu podobni siedzieli do tej pory cicho?

**Piotr Wojciechowski**: No bo ówczesna partia rządząca dbała o rozwój chrześcijańskich wartości w narodzie i budowała jedność. Proste.

**Janina Serafin**, Tarnobrzeg: Musieli do tego dojrzeć i odważyć się.

[kom.:] Ni cóż, niejedna już umarła... Staroegipska,

asyryjsko-babilońska, mazdaizm,  
zoroastryzm

**interiaFORUM:**

**Jakiego dowodu trzeba żeby przekonać do wiary?**

**soldier86:** Jestem ateistą, ale uważam, że gdyby wydarzyło się coś szczególnie co wskazywałoby na boską obecność, to zmieniłbym zdanie. Rzeczowe, twarde dowody zawsze do mnie przemawiają i nie zamierzałbym bawić się w upartego osła. Tak myślę, że jakbym znał człowieka, który urodził się np. bez nogi i po modlitwach nagle odrosłaby mu, to całkiem by mnie to przekonało. Albo gdyby nagle w moim domu pojawił się jeden z bogów egipskich, posiadających ciało człowieka i zwierzęcia i zobaczyłbym, że jego ciało jest prawdziwe i że potrafi on czynić cuda, które mu przypisywano. Czy są tu obecni ateści którzy myślą w podobny sposób? Sądzicie, że coś mogłoby zmienić wasze zapatrywania czy twardo zapieracie się, że religie to taka bzdura, że nie ma możliwości by cokolwiek zmieniło wasze zdanie? Zapraszam do dyskusji.

[kom.: Inicjatorowi dyskusji chodzi o dowód „przekonujący do wiary”, czyli do uznawania treści wiary, takich np. jak cuda, za występujące faktycznie, a nie tylko za czyjeś mrzonki; choćby nawet tych śniących o lepszym wymiarze czy innej rzeczywistości były miliardy.]

**GrzegorzNE do Soldier:** Bardzo proste – trzeba jakiegokolwiek

dowodu. Niechaj jeden z bogów da dowód swojego istnienia. Jeden weryfikowalny dowód i cały świat będzie wierzył, bo fakty są faktami. Naukowcy nie muszą się spotykać co tydzień powtarzając sobie, że np. grawitacja jest prawdą. A jeśli ktoś nie wierzy, niech wyjdzie przez okno na 10 piętrze, to od ręki się przekona, że chyba nie miał racji.

[kom.: Interlokutor miesza porządkami – miejmy nadzieję, że mimowiednie, jak go nauczono (i nadal się uczy) w pewnej szkole „myślenia”: „Jeden weryfikowalny dowód i cały świat będzie wierzył, bo fakty są faktami.” Bówiem „weryfikowalne dowody” wchodzi w skład nauki; a składnikami wiary są – z założenia – właśnie treści nieweryfikowalne. Między nauką a wiarą jest przecież jakaś zasadnicza różnica. Nauka to twierdzenia oparte na dowodach (np. że ludzie, zwierzęta i rośliny mają DNA, wiara zaś to mniemania oparte na niezwykłych przeżyciach i doznaniach (np. że istnieje – choć nie wiadomo gdzie – niebo, piekło i różne inne dziwa). Do tego wkleja – rozmówca – dwie definicje, z których pierwsza jest właściwa, a druga „własnowolna”, czyli nie niewątpliwa. Oto owe wklejki: *Sceptycyzm – zdrowa wątpliwość okazywana w obliczu braku wiarygodnych faktów. Dementi – własnowolne zaprzeczenie w obliczu oczywistych, wiarygodnych faktów.*]

**~Krzysztof:** Gdybym coś/kogoś zobaczył, ale nie mógł tego w żaden sposób zweryfikować, powtórzyć, to

uznałbym, że to złudzenie. Wielu widziało wiele niesamowitych rzeczy, tyle że tylko oni.

**GrzegorzNE:** Należy dodać, że jeśli mamy weryfikowalny dowód, to nie ma mowy już o wierze w sensie religijnym. Tu chyba odzywa się ograniczenie mojego słownictwa. Ja „wierzę” że grawitacja jest faktem. Nie „wierzę”, że gdzieś jest jakiś bóg, który obserwuje co robię, ba, nawet wiedział co zrobię zanim zacząłem istnieć. Hm... Nasuwa się pytanie, po co obserwuje, jeśli i tak wie, co zrobię, bo to przecież zaplanował... Po co mam się modlić o np. zdrowie, jeśli zaplanował, bym umarł na raka w wieku 15 lat... I takie tam bzdury. Tyle że w te i inne bzdury osoba mająca się za wierzącą musi wierzyć.

**~Krzysztof:** Bóg nie wie tego co ty zrobisz, dlatego żyjesz na ziemi, abyś mógł podjąć sam decyzję, czy wybierzesz w swoim życiu zło, czy też wybierzesz drogę, która poprowadzi cię do Boga i do życia wiecznego w Raju.

**GrzegorzNE:** A słyszałem, że bóg ma plan i wie wszystko. Zła interpretacja? Czy mam rozumieć, że masz powody, by podważyć omnipotencję i wszechwiedzę chrześcijańskiego boga? A co, jeśli przez przypadek urodziłem się w innej części świata, gdzie szefem jest inny bóg?

**~Książę:** Jaki z ciebie ateista? To po polsku niewierzący

w bogów. Obojętnie skąd. Ty jesteś tylko niedowierzający. Niewierzący nie zajmuje się myśleniem o bogach. Ty tym się zajmujesz. Niewierzący czasem wskazuje na bałeczność religii. I wszystko. Bóg nie jest przedmiotem rozważań niewierzących. bo jak dyskutować o czymś, czego nie ma i być nie może? Dla ciebie być może. Lepiej podporządkuj się jakiejś religii i będziesz miał spokój.

**GrzegorzNE:** Książę. Uważam się raczej za agnostyka, bo tak jak wierzący nie może dowieść istnienia boga, ja nie mogę dowieść jego nieistnienia. Nie zajmuję się myśleniem o bogach ani o różowych jednorożcach – bo ich istnienie jest równie prawdopodobne i udowodniane. Moje komentarze na temat bogów są odpowiedziami na tezy ludzi wierzących. Znajduje je nieprawdopodobnymi i z tego powodu zachęcam do wypowiedzi. Problem w tym, że z reguły niosą bardzo mało treści. A to mimo faktu, że zagadnienie kształtuje niemal w całości światopogląd wielu rozmówców. Zastanawiają mnie religie i stosunek człowieka do nich. Bo te religie mają wpływ na moje życie. Bez względu na to, czy sobie tego życzę, czy nie.

P. s. Podporządkować się jakiemuś systemowi dla świętego spokoju? Chyba nie mówisz tego na serio?

**~Krzysztof:** Ale jak ty kogoś widzisz w dniu codziennym np. swojego sąsiada, to nie wierzysz w to, że go widzisz?

**GrzegorzNE:** Wierzę, i Ty go też będziesz mógł zobaczyć, jeśli będziesz obok przechodził, a moje dzieci powiedzą mu dzień dobry. Natomiast, jeśli dziś będę na jego pogrzebie i zobaczę jego martwe ciało zakopane 2 m pod ziemią, a jutro zobaczę go idącego drugą stroną ulicy, to pierwszą rzeczą, którą będę miał na myśli, jest uderzające podobieństwo między ludźmi, albo złudzenie.

**~Książę:** Nie można podejmować się dowodzenia tego czego nie ma. A boga po prostu nie ma. Dla przykładu, w rozmowie przekazałbym ci, że spotkałem dwóch kosmitów, którzy powiedzieli, że są prawdziwymi bogami wszechświata i od czasu do czasu przeprowadzają inspekcję galaktyk. By jako tako zapanować nad żyjącymi, to podrzucają im koncepcje moralne zawarte w religiach. Gdybyś na to odpowiedział, że plotę bzdury, a ja na to – a udowodnij, że tak nie jest, to zaczęłbyś kombinować z udowodnieniem mi, że bredzę?

Więc zapewniam cię, że spotkałem, to prawdziwa prawda i wkrótce mają się pojawić znowu po to, aby Ziemię zlikwidować ostatecznie, bo jest już stara. A co z ludźmi? Kilka tysięcy wywozają, a ja mam dokonać wyboru. Mogę wziąć i ciebie pod uwagę, ale to będzie kosztować 50 tysięcy. Muszę bowiem przygotować ośrodek dla wybranych. Jeśli się zdecydujesz, to wyślę ci wskazówki, jak zachować się podczas przybycia bogów z kosmosu. W zamian dobrowolnie wpłacisz, co łaska, nie mniej jak 50 tysięcy. Gdyby, to uiszc

upřednio podatek od tej kwoty, bo nie będę miał czasu latać do urzędu.

**GrzegorzNE:** Widzisz, problem w tym, że mój stosunek do Twoich wymyślonych kosmitów jest dokładnie taki sam jak do wymyślonych bogów. Problem w tym, że działalność zorganizowanych religii doprowadziła do materialnych rezultatów wiary w nieistniejące byty. Jeśli ty twierdzisz, że powyżej opisana sytuacja miała miejsce, to mogę potraktować Cię jako kogoś z wyobraźnią, albo wariata. Natomiast dokładnie to samo ale w większej skali staje się religią – i jest obwarowane regulacjami, i wymaga szacunku (!). To jest absurd.

**~Książę:** W tym temacie pojęcie wiary jest w kontekście religijnym. Ty użyłeś w kontekście potocznym. Taka głupota, gdy się nie rozumie treści. Np. auto ma wiele znaczeń, nie tylko samochód. Jeśli jesteś wierzący, to twoje stwierdzenie do sąsiada – widzę cię, więc wierze (w znaczeniu religijnym), że jesteś, jest herezją. Skąd wiesz, że to nie przybrana postać szatana?

**GrzegorzNE:** czyli kolejna niewidzialna postać się pojawia tutaj? Eh... chyba nie dorosnę nigdy. Oczywiście rozumiem Twój tok rozumowania. By być precyzyjnym, pytanie w nagłówek nie powinno być zadane, tu nie o dowody chodzi.

**~Książę:** Teraz to inny aspekt, socjologiczny. Przyporządkowanie społeczności wierzeniom jest celem

religii. Pasożytuje ona na strachu i nadziejach. Więc podsycia i nadzieje i strach. Tym samym prowadzi do zniewolenia woli społeczności. Rządzącym jest to na rękę. O kilka setek policjantów mogą mniej zatrudnić. Wiele zrobią krucjaty różańcowe. Kraj bogaty krzyżami karmi lud korzonkami. Działalność misyjna jest mile widziana w ubogich rejonach. Zawsze jakoś łagodzi bunt przeciwko bogatym. Choćby przez wmawianie, iż ostatni będą pierwszymi. Bogacze za to trafią do piekła. U nas też to działa. ʘ/\) społeczeństwa trzęsie portkami. Pora, by te dwie trzecie, zapędziły wszystkich drżących do kościołów.

**~Itakaesc:** Tu było kiedyś pisane na temat cudu młodego chłopaka z Saragossy, który po modlitwie odzyskał zdrową nogę, którą miesiąc wcześniej miał amputowaną.

**~Książę:** Fronda jest nie do pobicia w takich relacjach. Sięgnęli do 1617 roku. Najbardziej zaciekał mnie fragment opisujący, jak to chirurg ówczesni z pietyzmem chowali obcięty kikut, zaznaczając, że dołek miał 21 centymetrów. Grywałem w 21, nazywało się to „oczko”. W tamtych latach Fronda opisywała zakonnik, który fruwał. Tak, bywało, że nagle unosił się i lądował na ołtarzu. Kiedy potrafi się fruwać, to nogi niepotrzebne.

**~www:** Głupoty! Trzeba głupoty, trzeba być osłem i głupkiem...

**~Książę:** Niestety, wiedza nie jest w stanie przebić się aż do kilku milionów mózgowic wiary.

**~gość1:** Masz rację. Wyznających wiarę ateizmu jest tylko kilka milionów, wierzących są miliardy. Mamy XXI wiek, a jeszcze są tacy ludzie którzy nie wierzą w Boga! Jak to jest możliwe? Epoka telewizji, Internetu, informacji. Można praktycznie zawsze i wszędzie zapoznać się ze Słowem Bożym, a mimo to u niektórych nadal ciemnota... Niepojęte...

**~gość:** Wyznających wiarę ateizmu? To ty nie wiesz, co oznacza wyraz ateizm, to co ty wiesz? Ateizm to niewierzący. Napisałeś, wyznających wiarę niewiary jest tylko kilka milionów. Chyba nie w Polsce, bo miliardów nie ma. A jak na świecie, to niewierzących są miliardy. Ty też jesteś niewierzący, bo nie wierzysz w Buddę ani w Allaha. No co, wierzysz? Jak nie, to jesteś niewierzący.

**Agatkka:** A ja Ci odpowiem tak. Nie wierzysz w Boga, ale nie kradniesz, nie zabijasz nikogo, nie bzykasz cudzej żony itd., jesteś prawnym człowiekiem. Więc Bóg patrzy na Ciebie przychylnym okiem, mimo że w niego nie wierzysz. Nic na siłę. Błądzić ludzka rzecz. Przyjdzie czas i pora i uwierzysz. Bóg Ci wybaczy i wpuści bramą do niebios.

**Viper1964:** Do wiary nie potrzeba żadnego dowodu. Wiara – nadawanie dużego prawdopodobieństwa prawdziwości twierdzenia

w warunkach braku wystarczającej wiedzy. Jeśli subiektywne prawdopodobieństwo jest małe, to potocznie taką wiarę nazywamy przypuszczeniem, a przy znikomym prawdopodobieństwie mówimy, że czegoś nie wykluczamy. Twierdzenie, które jest przedmiotem wiary, nie musi być do końca (lub w ogóle) wyrażone słowami – np. roczne dziecko wierzy, że zaspokoi głód, gdy zbliża się pora karmienia. Dotyczy to także bardziej inteligentnych zwierząt, które również dokonują subiektywnej oceny prawdopodobieństwa i często wahają się, jeśli ryzyko jest zbyt duże. Wiara jest także ważnym składnikiem nadziei. Zasadniczo: co to jest wiara? Cytat z encyklopedii. Wierzysz, że ludzkość ruszy w kosmos? Tak albo nie? Wierzysz w duchy – tak albo nie. Wierzysz, że kobieta cię nie zdradza – tak, czy nie. Wierzysz, czy chcesz czy nie, w prawdę albo w cuda. Do wiary nie trzeba przekonywać, ona jest, ale podlega twojej samoocenie: co jest realne, a co nie. Jeśli komuś odrosną nogi, to znaczy, że Bóg istnieje? A jaki Bóg? Allah, Budda, Kriszna. Jak uznasz, że nogi odrosły dzięki Szatanowi, to co, mylisz się? Jaki Bóg? O co kaman?

**~jah:** To mnie teraz zaciekawiłeś – jakie są te „ateistyczne obrzędy”? Ateizm z braku lepszego słowa oznacza odrzucenie każdej wiary. Idąc Twoim tropem należy uznać, że wszyscy na świecie są wierzący, bo albo wierzysz w Boga ,albo wierzysz w jego nieistnienie. To śmieszne i niepoważne. Nie wierzę w Boga

i nie mam zamiaru tego udowadniać, tak jak nie będę udowadniał istnienia/nieistnienia pana Kleksa. Nie mam też żadnego zamiaru nawracać nikogo na bycie ateistą, bo uważam, że to indywidualna sprawa każdego człowieka. A tak z drugiej strony, to jak chrześcijanie albo muzułmanie siłą nawracali i nawracają innowierców, to jest cacy, a jak ateści nawracają innych na rzekomą wiarę ateistyczną, to już fanatycy itd?

**~gosc1:** Nie masz zamiaru innych nawracać na ateizm? To powiedz po co piszesz na forum religia? Ja wierzę w Boga, nawet więcej. Ja wiem, że Bóg istnieje i nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ale ja nie wchodzę na forum ateistów, by im cokolwiek udowadniać. Nie chcą wierzyć w Boga to ich strata. Tutaj wygląda na to, że tak naprawdę to ateści podświadomie zdają sobie sprawę, że Bóg istnieje, dlatego proszą wierzących o dowody. Potrzebują jakiegoś bodźca do tego, by odwrócić się od ateizmu, który tak naprawdę niczego dobrego ludziom nie przyniósł.

**guru:** Dowody – to wiara, nie nauka, wiara nie potrzebuje dowodów. Weźmy np. wiarę dawnych Greków; wszyscy znamy mity greckie i wszyscy to akceptujemy jako MITY, nie mamy z tym problemów, a nie możemy zaakceptować jako mitu wiary chrześcijańskiej; czy naprawdę tak dużo się różnią? Czy to, jak się i kim był Jezus (jak był poczęty), dużo się różni np. od Herkulesa? Wszystko to już kiedyś było, teraz mamy

chrześcijaństwo, chociaż odnosi się raczej do Polski. Świat ma inne wierzenia i nie potrzebuje dowodów.

**~jah:** Czy zwykła dyskusja jeszcze się zdarza? To ważny temat i chyba można o nim podyskutować bez chęci przekonywania kogokolwiek... To jest forum religijne? Nie zauważyłem. Nie znam żadnych forów ateistycznych, może istnieją, nie wiem. Tu nie chodzi o to, że ktoś NIE CHCE wierzyć, tylko o to, że nie wierzy. To nie jest kwestia przekonań, tylko raczej charakteru. Zaraz, zaraz, to wy nam zarzucacie, że wierzymy i chcecie od NAS dowodów, że Bóg nie istnieje. Jak ktoś już został ateistą, to już nim zostanie, wierz mi, nie potrzebuje żadnych dowodów, bo jest przekonany, że takowe NIE ISTNIEJĄ. Nic dobrego ateizm nie przyniósł? A co nam przyniosła wiara? Jakakolwiek wiara? Same dobre rzeczy? Ateizm przynajmniej wyklucza wojny między religiami, palenie na stosie, udowadnianie komuś, że jest czarownicą, obcinanie komuś głowy w imię Boga. To właśnie wiara. Uprzedzając zarzut – hitlerowcy byli religijni, nie byli ateistami. Wiarą komunistów był

komunizm, nie byli prawdziwymi ateistami. Prawdziwy ateista nie będzie zwalczał żadnej religii.



**~mmN:** Dowodów jest dużo i to tak przekonywujących, że trudno o jakąkolwiek dyskusję z nimi. Np. wspomniany w poprzednich linkach „Cud cudów”, cudy Eucharystyczne w Polsce (Sokółka i Legnica) w ostatnich latach (zamiana Eucharystii w ciało ludzkie, o strukturze spójne i ciąglej ze strukturą opłatka i potwierdzone ekspertyzami naukowców), ciała św., np. św. Bernadetty nie ulegające rozkładowi (wyglądają i są kompletnie „świeże”, nie wyschnięte etc., pomimo lat w trumnach, wilgoci etc.) jest tego dużo i nie przekonują, bo problem nie w dowodach lub ich braku, ale grzechu, który nie pozwala zrezygnować ze zła, które czynimy.

Wszystkie podane przez Ciebie przykłady cudów są tylko niezrozumiałymi (na razie) anomaliami na mikro skalę. Chcesz przekonać wszystkich ludzi na świecie? Dokonaj cudu na moich warunkach. Wymódl drugi księżyc albo drugie słońce.

Za trudne? No to inaczej. Dokonajmy dekapitacji (rozcłonkowania) ochotnika (najlepiej wierzącego w jakąś religię) i wymódl scalenie członków

w sensownym czasie tu i teraz. Zapewniam Cię, że takie cuda uzna cała ludzkość.

### **w kwestii mocy Rydzyka**

**tedj – @hotin:** A teraz hotinku, kretyнку czeka cię twardy orzech do zgryzienia. Albo kaczałnik łże nazywając Ojdyra rosyjskim agentem, albo mówi prawdę.

„Jest kwiecień 1998 r. Poseł niezrzeszony Jarosław Kaczyński udziela obszernego wywiadu „Gazecie Polskiej”. Rozmowę przeprowadzają redaktor naczelny tygodnika Piotr Wierzbicki i Tomasz Sakiewicz, wtedy czołowy dziennikarz „Gazety”. Wywiad sprawia wrażenie bardzo szczerego. Kiedy pada pytanie o Radio Maryja, Kaczyński stwierdza: „Po naszej stronie działają aktywnie rosyjskie służby specjalne. Radio Maryja jest dziś głęboko antyzachodnie, niechętnie nastawione do hierarchii kościelnej, prorosyjskie, wcale nie nieżyczliwe PRL, ma nadajniki na Uralu. W Rosji panuje wprawdzie bałagan, ale niektórych rzeczy pilnują tam jednak dość dobrze”. W odpowiedzi na kolejne pytanie idzie jeszcze dalej. Porównuje toruńską rozgłośnię do Targowicy: „Prorosyjskość ubrana jest tam w maskę patriotyczną. (...) Problem w tym, w którym miejscu kończą się pospolici głupcy, a zaczyna zwyczajna agentura”.

### **wp.tv**

Duchowi uzdrowiciele mogą wkrótce zacząć pracować w polskich szpitalach. Taki pomysł ma ich

stowarzyszenie. Ministerstwo na razie mówi „nie”, ale premier – jak twierdzi Antoni Przechrzt, prezes Polskiego Stowarzyszenia Duchowych Uzdrowicieli – daje im zielone światło. Na czym miałyby polegać duchowe uzdrowienie? Sprawdził to reporter WP, Klaudiusz Michalec

### **Komentarze**

**~TERI:** Jestem całym sercem za, szczególnie teraz w dobie kryzysu personalnego w szpitalach. Wiara czyni cuda, a uspokojenie i wyciszenie pacjenta to często połowa sukcesu w leczeniu. Personel medyczny nigdy nie ma czasu i serca dla chorego, co powoduje że pacjent zwykle czuje się intruzem. Lekarzom wciąż wszystkiego za mało, tylko chorych stanowczo za dużo. Uważam, że uzdrowiciele w szpitalach potrzebni są też „chciwej służbie zdrowia”.

**~adams:** Nie ma kasy dla pracowników niższego stopnia, a chcesz dodać kolejną grupę osób do obciążenia budżetu? W dodatku takie osoby nie miałyby żadnej odpowiedzialności, bo nie są to pracownicy medyczni. □

Wybrał i skomentował:  
Józef Kabaj.



W okresie jesienno-zimowym przedstawiciele Rady Wojewódzkiej TKŚ dwukrotnie uczestniczyli w uroczystościach na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Tradycyjnie jak co roku w dniu Święta Zmarłych zapalili znicze na grobach byłych prezesów TKŚ

w Krakowie, profesorów Włodzimierza Szewczuka i Antoniego Podrazy. Zapalili również świece na grobach zmarłych, którzy w przeszłości związani byli z ruchem laickim. Radę Wojewódzką TKŚ reprezentowali Sławomir Brodziński i Antoni Pietryka. □



Kolejny raz członkowie RWTKŚ udali się na Cmentarz Rakowicki w związku z 73 rocznicą wyzwolenia Krakowa spod niemieckiej okupacji. W samo południe 18 stycznia na cmentarzu wojskowym w Rakowicach rozpoczęła się uroczystość złożenia kwiatów na grobach żołnierzy Armii Czerwonej, którzy polegli w czasie wyzwolenia Krakowa. Okolicznościowe wystąpienia mieli Prezydent Krakowa prof. Jacek Majchrowski, konsul Federacji Rosyjskiej w Krakowie Aleksander Minin i przedstawiciel weteranów Wojska Polskiego prezes Michał Jasnosz.

Prezydent J. Majchrowski w krótkim wystąpieniu przypomniał przebieg walk o wyzwolenie Krakowa, udział w nich Armii Czerwonej we współpracy z Armią Krajową. Podkreślił, że wszystkim

poległym w walce z faszystowskimi Niemcami należy się szacunek i stała pamięć, bez względu na sympatie i podglądy polityczne. Do pamięci poległych odniósł się również Konsul Minin i wyraził zdziwienie, że obecnie w Polsce próbuje się interpretować wyzwolenie przez Armię Czerwoną jako drugą okupację. Zdecydowanie przeciwstawił się tej tezie argumentując, że rosyjscy żołnierze, którzy polegli na polskiej ziemi przyszli tu jako wyzwolicieli a nie jako okupanci. Wyraźnie można było wyczuć w Jego wystąpieniu niezadowolenie z nacjonalistycznej oraz prymitywnej interpretacji historii, która nie służy układaniu dobrosąsiedzkich stosunków między Polską a Rosją. □

Oprac. Sławomir Brodziński

**Gazeta Wyborcza z 16 listopada  
2016 r. W artykule Jarosława  
Kurskiego pt. „PRL-Bis, PRL-PiS”  
czytamy:**

W PRL rzeczywistą władzę sprawował I sekretarz PZPR. Dziś sprawuje ją prezes PiS na Nowogrodzkiej – w opisanym przez prof. Stanisława Ehrlicha „pozakonstytucyjnym ośrodku dyspozycji politycznej”. W tym celu w ciągu zaledwie roku naruszono trójpodział władzy; zniszczono Trybunał Konstytucyjny; przeprowadzono kadrową wymianę i upartyjnienie państwa. Jak w PRL podporządkowano prokuraturę rządowi i zawładnięto mediami publicznymi. „Dyktaturę proletariatu” zastąpiono figurą „suwerena, a „rewolucję klasową” zastąpiła „rewolucja narodowa”. „Nadbudowa”, tj. prowadzona w duchu neoendeckim państwową polityka kulturalna, historyczna i edukacyjna, służy utrwalaniu heroicznej tylko wizji patriotyzmu. Towarzyszy temu walka ze społeczeństwem otwartym i organizacjami pozarządowymi.

PRL-PiS to upaństwowienie doktryny katolickiej m.in. w sprawie aborcji, to lekceważenie praw mniejszości. To wreszcie upaństwowienie mitologii „zamachu smoleńskiego” i oficjalny kult prezydenta Lecha Kaczyńskiego. A skoro był „zamach”, to zapewne będą – jak w PRL – procesy pokazowe.(...) I tak jak w PRL nie liczy się fachowość, ale partyjna rekomendacja. Ostatni rok to triumf „Misiewiczów” w najbardziej pazernym wydaniu, ze znaną w PRL „karuzelą stanowisk”. I jak w PRL-u uruchamiają się

serwilizm, oportunizm i mimikra. Nie trafnie zaadresowany program „Rodzina 500 plus”, przywileje branżowe, ochrona nierentownych kopalń, cofnięcie reformy emerytalnej przy spadku inwestycji i spowolnieniu wzrostu PKB muszą oznaczać albo podniesienie podatków i danin publicznych, albo – znowu jak w PRL – życie na kredyt, zrujnowanie finansów państwa i scenariusz Gierka. Rządy Edwarda Gierka (o którym Kaczyński tak dobrze się wyraża), podobnie jak obecne rządy PiS, cieszyły się poparciem społecznym, dopóki było z czego finansować program równości w biedzie. Pogardliwy stosunek PiS do UE, zwłaszcza do jej demokratycznych wartości, przyniósł samoizolację i utratę pozycji Polski we Wspólnocie Europejskiej. Nie możemy też liczyć na upokorzone przez rząd RP Niemcy i Francję ani na Wielką Brytanię zajętą sobą po Brexicie. Nasz sojusz z USA po zwycięstwie Donalda Trumpa to wielki znak zapytania. Tak oto polska dyplomacja „wstała z kolan”. Czeką nas dalsza PRL-izacja Polski: atak na niezawisłość sędziowską, Rzecznika Praw Obywatelskich i NIK, samorządy oraz prawa obywateli, których nie będzie miał już kto bronić. W ciągu jednego roku „dobrej zmiany” Kaczyński z pomocą prezydenta Dudy i premier Szydło zniszczyli budowane przez dziesięciolecia instytucje polskiej demokracji. Bez wstydu pogwałcono konstytucję. Stały się rzeczy, które nie śniły się filozofom. To najgorszy rok dla Polski od 27 lat. □

/wybrał M. Jakubiec/





■ Kobieta jest na przemian radością i klęską w życiu mężczyzny.

*Eurypides*

■ Są kobiety, które aby zamaskować swe krzywe nogi, naszą bardzo duże dekolty.

*Gabriela Zapolska*

■ W rozmowach z przełożonymi mężczyźni uczą się wciągać głowę w ramiona, w rozmowach z kobietami – wciągać brzuch.

*Eliza Attenhofer*

■ Mężczyzna zakrywa swoje pochodzenie od mały rozumem, kobieta – strojem.

*Aleksander Świętochowski*

■ Gdyby wszystkie kobiety były wierne, z kim mężczyźni zdradzaliby swe żony?

*Roberto Rocca*

■ Moralność upada z dnia na dzień: niektóre kobiety zdradzają swoich kochanków z własnymi mężami.

*Gabriel Laub*

■ Wszystkie kobiety dążą do małżeństwa. Wszyscy mężczyźni do romansu.

*Magdalena Samozwaniec*

■ Posiadamy lekarstwa powodujące, że kobiety mówią. Ale żadnego, żeby milczały.

*Anatol France*

■ Mężczyźni są strasznie nudni, gdy są dobrymi mężami i wstrętne zarozumiali, gdy nimi nie są.

*Oscar Wilde*

■ Kobieta nie słowami mówi prawdę, lecz ciałem.

*Sakuaguchi Ango*

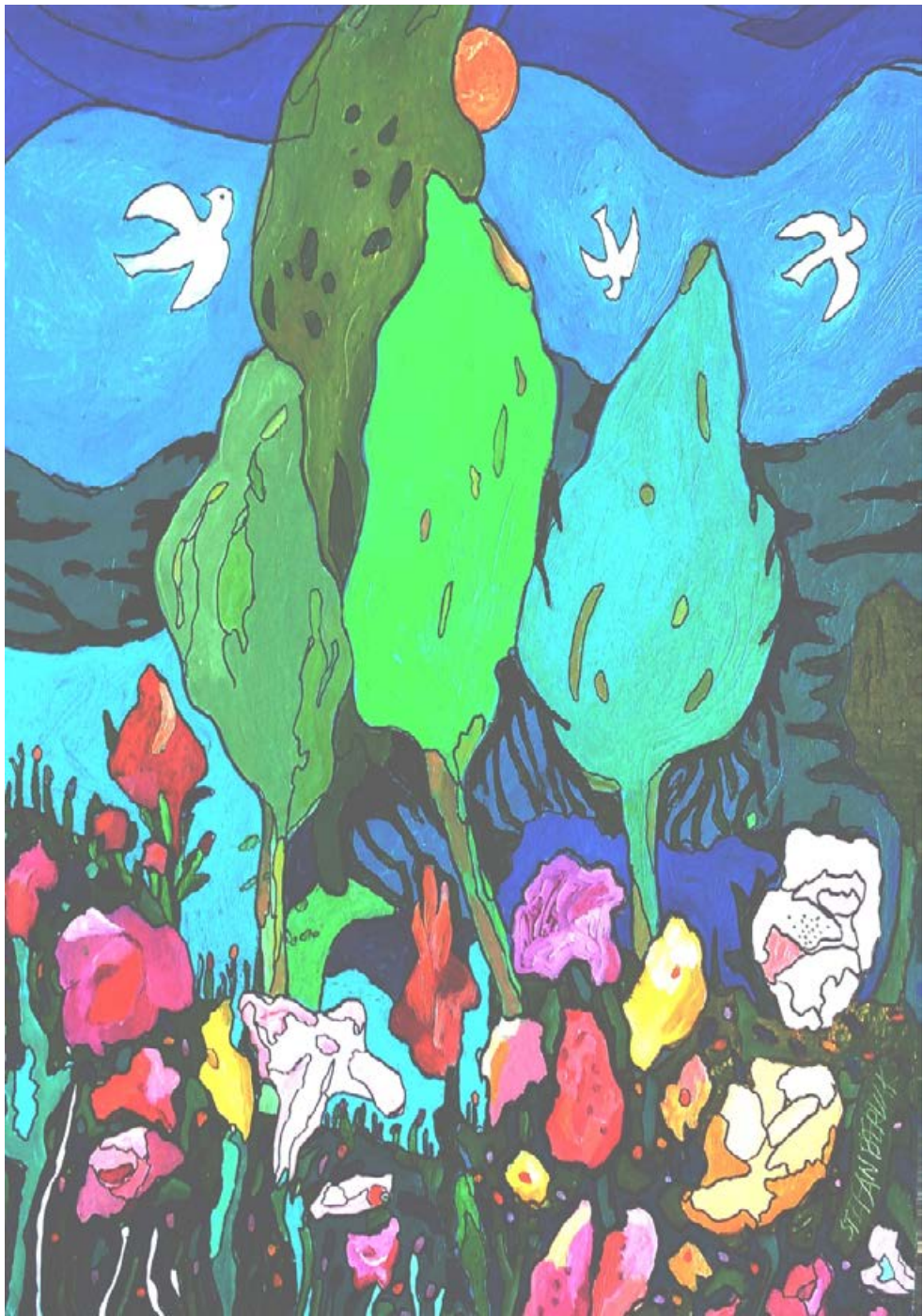
■ Szczęście żonatego mężczyzny zależy od kobiet, których nie poślubił.

*Oscar Wilde*

■ Zaszczytniej jest dla kobiety mieć u stóp swych lwa niż mopsa.

*Henryk Sienkiewicz*





STEFAN BERDAK "Późną wiosną", 100x70cm, akryl, płótno,